Dziś w numerze: ● Czy łodzianie są oszczędni? ● O pierwszym polskim podróżniku do Mongolii ● Którędy droga do Domu Kultury ● EXPO — N. ● Dzwony z St. Mary le Bow ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosu

Nr 40 (454)
8. X. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Październik Iwanowa

Łódź — Iwanowo. Dzieli je odległość ponad 1500 km i granica państwowa, lecz równocześnie jakże zbli ża charakter ekonomiczny, tradycje rewolucyjne, nawet oblicze urbanistyczne zmieniane w warunkach, tam władzy radzieckiej, u nas władzy ludowej. Oba miasta pozostały dużymi, dynamicznymi w swym rozwoju ośrodkami przemysłowymi, lecz równocześnie stały się i ośrodkami badań naukowych, wysiłków twórczych, osiągnięć kulturalnych.

Oba miasta zapisały w kronice wydarzeń rewolucyjnych lat 1905—1907 chlubne karty nieustępliwej walki i zastosowania wyższych form oporu — wystąpień zbrojnych.

W czasie pierwszej wojny światowej sytuacja w obu ośrodkach kształtowała się całkowicie odmiennie. Od sierpnia 1914 roku Łódź była miastem przyfrontowym a w październiku i listopadzie znalazła się na linii zaciętych walk. Grudzień zapoczątkował dla Łodzi ponury okres okupacji niemieckiej trwającej aż do listopada 1918 roku.

W tym czasie Iwanowo — Wozniesieńsk (nazwa do 1932 roku) był przeszło 120.000 miastem położonym na dalekich tyłach. Jego przemysł został podporządkowany potrzebom wojny. Liczba zatrudnionych w fabrykach Iwanowa znacznie wzrosła, a kobiety stanowiły większość pracowników w zakładach włókienniczych.

Pomimo obowiązującego w okręgu stanu wojennego proletariat Iwanowa nie zawiesił, w myśl wskazań liderów mieszewickich prowadzenia walki klasowej na czas wojny. Żądania polepszenia warunków pracy, a w związku ze wzrostem cen — progresywnych podwyżek płac były wysuwane przez związki zawodowe przy czynnym poparciu robotników całego okręgu (miasta: Iwanowo-Wozniesieńsk Szuja, Kineszma i szereg wsi, gdzie rozwinięte było chałupnictwo). Masowy strajk w 1915 roku został złamany przy użyciu wojska, lecz w konsekwencjach przyczynił się do jeszcze większego wzrostu solidarności klasowej proletariatu i jego nienawiści do wyzyskiwaczy.

Na organizacje bolszewickie w Iwanowie i okręgu raz po raz spadały represje. Żandarmeria i ochrana wyrywały coraz to innych działaczy z szeregów partyjnych lecz nie mogły zapobiec ani rozrostowi liczebnemu partii, ani wzrostowi sympatii probolszewickich wśród bezpartyjnych. Atmosfera napięcia musiała znaleźć ujście w rewolucyjnych odruchach. Na szczęście rewolucja lutowa, obalenie monarchii i powstanie dwuwładzy (Rząd Tymczasowy i Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich) zapobiegło żywiołowym wystąpieniom w Iwanowie i spowodowało zasadnicze zmiany w mieście i okręgu.

Iwanowo-Wozniesieńska Rada Delegatów Robotniczych wybrana w marcu od razu posiadała większość bolszewicką (do członków partii szybko dołączyła się większość delegatów bezpartyjnych). Opozycję tutaj w przeciwieństwie do większości Rad tego okresu stanowili mieszewicy i eserzy. Początkowo Rada żywiła złudzenia odnośnie polityki Rządu Tymczasowego, który powstał w wyniku rewolucji. 21 marca *) przyjęto nawet rezolucję, że do czasu zwołania konstytuanty, proletariat Iwanowa będzie popierać dążenia Rządu Tymczasowego do demokratyzacji kraju.

Lecz sielanka skończyła się szybko. Wrócili z więzień i zesłania starzy działacze bolszewiccy. W końcu kwietnia Komitet Miejski Partii przeprowadził szeroką dyskusję nad leninowskimi tezami w sprawie przejścia od rewolucji burżuazyjno-demokra

Dalszy ciąg na str. 5

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Wiadukt — nowa era

Piszę skromnym reporterskim piórem historię tego miasta. Jest to historia gwałtownych przemian, zaskakujących przeobrażeń, które nieraz uciekają uwadze...

Ot, mieszkałem kiedyś na Polesiu, w tej sennej, romantycznej dzielnicy, gdzie było dużo pięknych drzew i koślawych domków; uliczki wąskie i ciasne, kiszkowate podwórka, na węglowych placykach grywaliśmy w kipla, a piłkarskie mecze odbywały się na placu 9 Maja. Niedawno, z okazji pewnego reportażu, zawędrowałem po długiej niebytności na to moje ciche Polesie i — uderzył we mnie zgiełk wielkiego miasta. Znikły dziury i wilgotne zakamarki, na placach wyrosły jakieś domy, tam gdzie dawniej trawa i ugory, teraz tory tramwajowe i ulice...

Albo takie Chojny. Byłem tam trzy lata temu, żeby napisać o Czerwonym Rynku. Wyniosłem wrażenie ponurej, smutnej dzielnicy, pełnej wieczornych niepokojów. Z wyboistych uliczek wiało nudą, usmotruchane dzieciska babrały się w rynsztokach; pod murami odrapanych domów kwitło cwaniactwo, wsiowy szlaban przy torach kolejowych przecinał ulicę Rzgowską i zamykał drogę do świata.

Jakby mi ktoś wtedy powiedział, że Chojny można przebudować, wpuścić trochę powietrza i słońca do dzielnicy skamieniałej w brzydocie — nigdy bym mu nie uwierzył. Nigdy!

1.

Chojny anno domini 67. Schyłek września i południe dnia z wyblakłym słońcem. Idę pieszo od placu Niepodległości, ulicą Rzgowską; mijam znane, odrapane domy, nabite kamieniami przecznice, dochodzę do Czerwonego Rynku, na którym — sobota akurat — faluje handlujący tłum. Jeszcze jeden przystanek — paręset metrów — i nagle... Chojny się kończą jakby uciąć nożem. Albo inaczej: kończą się stare Chojny, które zachowałem troskliwie w pamięci, a zaczynają nowe, nieznane, niepodejrzewane... Jasne, czytałem w gazetach, że buduje się jakiś wiadukt, cud techniki, który upiększy dzielnicę. Wielka rzecz, taki wiadukt — myślałem — zniknie szlaban, kolejowe tory pójdą parę metrów niżej, albo wyżej, zrobi się małe, bezkolizyjne skrzyżowanie, które utonie w ogólnej szpetocie; na tym koniec, kropka, wszystko inne zostanie po staremu, te rudery zmurszałe od starości, koślawe; te uliczki wyboiste, z paskudnymi rynsztokami; ci ludzie o twarzach szarych i smutnych.

Otóż pomyliłem się, przyznaję...

2.

Tam, paręset metrów za Czerwonym Rynkiem, zbiegają się dwie szerokie, dwustrumienne ulice, każda trzy razy szersza od Piotrkowskiej, a jedna nazywa się Broniewskiego, druga Gagarina; tam, paręset metrów za rynkiem, wyłania się z szarych murów ogromna, wielkomiejska panorama; w lewo, w prawo, gdzie się odwrócisz — szeroka, otwarta przestrzeń, zjawisko na Chojnach zupełnie niebywałe; jest powietrze i widać w promieniu kilku kilometrów krajobraz, utkany jeszcze wprawdzie, i dość gęsto, akcentami przeszłości, ale osnuty na wielkim placu budowy; zarysowują się coraz wyraźniej kontury wiaduktu. Ten wiadukt ściąga na siebie całe Chojny, jest autentycznym, naturalnym centrum dzielnicy, której w

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

Problem wietnamski nie znajduje się w porządku obrad sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ. Mimo to większość przedstawicieli państw członkowskich mówiła w debacie generalnej o Wietnamie. Rzecz przy tym bardzo istotna — częściej niż kiedykolwiek rozlegały się głosy w ONZ nawołujące do przerwania bombardowań Demokratycznej Republiki Wietnamu.

Pierwszy fakt świadczy o zrozumieniu, iż interwencja Stanów Zjednoczonych ciąży na sytuacji międzynarodowej i utrudnia rozwiązanie i innych problemów, drugi — o coraz powszechniejszym przekonaniu, iż droga do rozwiązania konfliktu środkami politycznymi prowadzi przez zaniechanie aktów wojennych przeciwko północnemu Wietnamowi.

Na te głosy Stany Zjednoczone reagują ciągle tak samo: militarną eskalacją. Próbują przy tym, jak czynił to np. Goldberg na sesji NZ, uzasadniać swoją „obecność" w Wietnamie Południowym zobowiązaniem wobec Sajgonu „obrony" terytorium południa, obowiązkiem wobec sojuszniczego kraju.

Co warta jest ta argumentacja, jaki to „kraj sojuszniczy" — wiemy wszyscy. Ale przed kilku dniami mimo woli dała temu wyraz agencja Reutera, publikując informację o zakończeniu budowy nowej ambasady USA w Sajgonie. Ze szczegółowego opisu tego gmachu dowiadujemy się, że ma on własne generatory i wielki zbiornik na wodę, że dach budynku wzmocniony jest betonowymi płytami, a dostępu do wnętrza bronią dwie wieże oraz betonowy mur o wysokości 2,4 m. Cały gmach ma ochronę żelbetonową i nawet 75-milimetrowe działka nie mogą go uszkodzić. W sumie — po prostu twierdza obronna... Tylko przeciwko komu? Sojusznikom i przyjaciołom, wobec których Stany Zjednoczone wywiązują się tylko ze swojego obowiązku?

Wojna wietnamska dawno już stała się wojną Stanów Zjednoczonych. Nawet oficjalne raporty nie ukrywają, że większe straty ponosi armia amerykańska niż sajgońska. Tak więc Waszyngton nie ma powodów do zadowolenia ze swej strategii militarnej, ani politycznej...

Jak Czytelnicy wiedzą — na początku, ub. miesiąca odbyły się na południu Wietnamu tzw. wybory prezydenta i senatu. Na ok. 16 mln mieszkańców tego kraju, uprawnionych do głosowania było niecałe 5 mln, natomiast zwycięska para Thieu i Ky uzyskała aż... 1,65 mln głosów. I to pod terrorem, i to przy fałszerstwach, które okazały się tak rażące, że nawet marionetkowe Zgromadzenie Narodowe postanowiło zająć się sprawą. Wprawdzie zatwierdzono wyniki „wyborów", ale zaledwie 15 głosami. Równocześnie odbywają się liczne manifestacje w Sajgonie, które są wyrazem protestu przeciwko wrześniowej farsie. Demonstranci domagają się unieważnienia wyborów. Reżim odpowiada na nie wzmożeniem terroru.

Wiadomości o napięciu w Sajgonie obiegają cały świat i są oczywistym blamażem Waszyngtonu, który przez wybory próbował zalegalizować reżim jako rzekomego wyraziciela woli południowowietnamskiej ludności. Do licznych niepowodzeń doszło więc nowe. Wszystko to razem skłania coraz szersze kręgi Amerykanów do zastanawiania się — w imię czego mają ginąć na dalekim Półwyspie Indochińskim.

* * *

Na kontynencie europejskim w ostatnich dniach zwróciły uwagę opinii publicznej: wybory kantonalne we Francji i wymiana listów między premierem NRD — Stophem a kanclerzem Kiesingerem. Kilka uwag na te tematy.

W poprzednią i ostatnią niedzielę — w dwóch turach — ponad połowa Francuzów poszła do urn wyborczych, aby spośród ok. 6 tys. kandydatów wybrać ponad 1.700 radnych. W pierwszej turze najpoważniejszy sukces odniosła Francuska Partia Komunistyczna, która otrzymała ponad 26 proc. głosów. W drugiej natomiast w znacznej większości wypadków uzyskano porozumienie między partią komunistyczną a federacją lewicy demokratycznej i socjalistycznej o wycofywaniu kandydatów na rzecz lepiej uplasowanych po głosowaniu w dniu 24 września, świadczy to o porażce przeciwników jedności partii lewicowych.

Prasa francuska jednoznacznie komentuje wyniki dwóch niedziel, stwierdzając, że są one „interesującą zapowiedzią przyszłych konsultacji wyborczych".

A teraz o wspomnianej wymianie listów między NRD i NRF.

18 września premier rządu NRD — Willy Stoph przekazał kanclerzowi Kiesingerowi list, w którym w przejrzysty sposób przedłożył propozycje unormowania stosunków między obu państwami niemieckimi. 29 września Kiesinger przekazał odpowiedź na sugestie Stopha. Wynika z niej, że PO PIERWSZE — rząd NRF upiera się przy roszczeniach do wyłącznej reprezentacji Niemiec, PO DRUGIE — unika rzeczowych rokowań na temat podstawowego zagadnienia narodu niemieckiego, jakim jest zapewnienie pokoju.

Mimo to urząd prasowy przy Radzie Ministrów NRD podał do wiadomości, że premier Stoph w dowolnym czasie i miejscu gotów jest podjąć rokowania na temat utrzymywania normalnych stosunków między obu państwami i wyrzeczenia się przemocy oraz uznania istniejących granic i status quo w Europie.

Dotychczasowa wymiana listów — z winy Kiesingera — nie rokuje nadziei na rozwinięcie dialogu, który powitany byłby przez Europę z zadowoleniem.

W. SŁAWSKI

JAN BĄBIŃSKI

Czy łodzianie są oszczędni?

Oszczędnością i pracą narody się bogacą.

Bardzo na serio wzięli tę starą maksymę imigranci z Dalekiego Wschodu. Kulis chiński harował do siódmego potu, nigdy nie strajkował, połykał garstkę ryżu, chodził w jednych portkach, spał byle gdzie, a co zarobił, to czym prędzej odkładał. Japończycy również sknerzyli i ciułali na wszelkie możliwe sposoby. No i nie wiadomo kiedy skośnoocy imigranci wykupili w słonecznej Kalifornii co ładniejsze skrawki ziemi i zamienili w ciągu jednego pokolenia w kwitnące ogrody. W drugim pokoleniu zagarnęli w San Francisco najlepsze restauracje i stali się właścicielami wielkich hoteli w Los Angeles. Trzecie pokolenie sięga, jak słychać, po przemysł i banki.

Ludowa mądrość Dalekiego Wschodu głosi atoli, że wielkość dochodu jest bez znaczenia.

— Nie ten jest bogaty kto dużo zarabia, tylko ten kto mało wydaje...

Tej reguły dochowali wierności chińscy imigranci, a spójrzcie tylko jak się w Stanach wywindowali. Uczeni w piśmie utrzymują, że ludzi można by z grubsza biorąc podzielić na dwie kategorie. Jednych pieniądz pali do tego stopnia, że muszą się go co rychlej pozbyć. Drudzy raczej koszulę zdejmą, niż wyciągną złotówkę z pończochy.

Przesada? Pewnie, że przesada, ale dziennikarz ma prawo do przesady, bo inaczej byłby buchalterem w przedsiębiorstwie pogrzebowym, który przez 3 noce nie może oka zmrużyć, gdyż brakuje mu do bilansu groszy polskich trzy.

Coś pan pokręcił łaskawy panie, to nie tak, wszystko bierze się stąd, że są narody-utracjusze i narody-groszoroby.

Jasno powiedziane, prawda? I krótko. Anglik jest nadęty, Włoch leniwy, Japończyk okrutny, Amerykanin chamowaty, Francuz niepoważny... A Polak? Polak szas prast i już po gotówce, jest lekkomyślny, siedzi w długach i nie ma jak kobieta, poczucia wartości pieniądza. Etykietki, etykietki, rzucisz grudą i przylgnie. Kropniesz przymiotnikiem i charakter narodu załatwiony. Tak, tak, Japończyk to jedynie genialny imitator. Wpierw ukradł Chińczykom kulturę, potem sprzątnął germańskim narodom technikę sprzed nosa. To beznadziejny naśladowca, który nigdy nie zdobędzie się na coś oryginalnego, co wypływa z rzeczywistych uzdolnień i twórczego natchnienia. To zakuty plagiator. W prasie zachodniej przez długie lata pokutowała karykatura małego Japończyka z notesem w ręku i okularach na nosie, który węszył za cudzymi patentami. I nagle ten ponoć żałosny imitator przeobraził się w niedościgłego mistrza optyki, elektroniki, ba nawet w budownictwie okrętowym usadowił się na samym szczycie światowej piramidy. A to wprawiło w ponurą wściekłość Brytyjczyków zawsze przeświadczonych, że co jak co ale berła na morzach to już nie oddadzą nikomu.

Polak ma lekkomyślną duszę, żyje dniem dzisiejszym i najczęściej powtarza — „trudno", albo „jakoś tam będzie"... Czy aby naprawdę?

Czy aby zachodni specce od polskiej duszy i polskiego charakteru nie ugrzęźli w stereotypie z ubiegłego wieku? Istotnie, niegdyś Polak kojarzył się portierom w Monte Carlo z panem hrabią, który nic nie robił, tylko sypał frankami, co nie wydał, to przepuścił w ruletkę. Dziś hotelowi portierzy Polaków w ogóle nie oglądają na oczy. Polak jeśli już jest turystą, to jeździ po Nicei z własnym namiotem, żeby było taniej. A jeśli jest handlowcem i stać by go było może i na szampana, to woli przeklnąć „Vichy", kieszeni wychodzi to tylko na zdrowie. Dziś w oczach hotelowych portierów na Zachodzie Polacy uchodzą za naród nieprawdopodobnych skąpiradeł, od których choćbyś stawał na głowie nie wydębisz złamanego centima.

Czy w tym co złego?

Niby dlaczego szastać za granicą dewizami, skoro dziś mało kto szasta nawet złotówkami? Polak, gdyby uwzględnić koszty utrzymania, wysokość zarobków i wielkość rodziny, bardziej od pewnego czasu oszczędza niż nawet Czech lub Holender. Bo niczego jeszcze nie mówi goły jedynie fakt, że w NRD wkłady na głowę ludności są czterokrotnie wyższe, jeśli się nie uwzględni, że zarobki po drugiej stronie Odry są większe, a rodziny mniejsze. Łodzianie też nie pozostali w tyle. Tworzą zgoła czołówkę narodu w tym zakresie. Średni wkład na głowę łodzianina wynosi obecnie 2900 złotych, można więc przyjąć, że statystyczna rodzina łódzka ma na bankowym koncie jakieś 12 tysięcy złotych. To już jest coś. Jeszcze 10 lat temu ten wkład nie przekraczał tysiąca złotych.

A jak oszczędza Łódź łącznie z województwem?

Na to pytanie niechaj odpowie zestawienie ilości książeczek PKO na 1000 mieszkańców w poszczególnych województwach. Dane pochodzą z końca 1966 roku.

Łódzkie	**— 621**
Warszawskie	**— 556**
Rzeszowskie	**— 283**
Katowickie	**— 599**
Poznańskie	**— 607**
Kieleckie	**—343**

Zestawienie daje mimo wszystko tylko mglisty obraz sytuacji. Przecież najbardziej wymowna jest nie ilość książeczek, lecz wysokość wkładów. Samych tylko książeczek samochodowych jest w Łodzi i województwie 108 tysięcy z najniższym wkładem 6 tysięcy. Już obecnie co 4 książeczka PKO poluje na wartburgi i syrenki. Jeszcze raz się okazało jak potężną dźwignią może być pęd do własnego samochodu. Załatwia on może lepiej problem zwiększenia wydajności pracy niż najstaranniej prowadzone kursy światopoglądowe. Wobec tego jeszcze jedno zestawienie. Tym razem o średnim wkładzie na książeczkę PKO w poszczególnych rejonach kraju z uwzględnieniem miast wojewódzkich. Wszystkie dane z końca 1966 roku.

Łódzkie	**— 1448 złotych**
Warszawskie	**— 2560 „**
Rzeszowskie	**— 900 „**
Katowickie	**— 1726 „**
Poznańskie	**— 1533 „**
Kieleckie	**— 819 „**

Tabelka uwzględnia nie tylko wojewódzkie ośrodki administracyjne, ale też wszystkie gromady. Dlatego średnia jest jakby zaniżona w stosunku do miast i zbyt wysoka w odniesieniu do wiosek. Czy z tego wniosek, że chłop mniej oszczędza? Skądże. Oszczędza tylko inaczej. Trzyma gotówkę za świętym obrazem. Lepiej już nie leźć ludziom bez potrzeby w oczy, bo sąsiad się dowie i zatruje z zawiści człowiekowi życie...

Sądzi kto, że łodzianie są inni? Eiże, nie zapominajmy, że co drugi mieszkaniec Łodzi to wychodźca ze wsi w pierwszym pokoleniu, który na grunt miejski przeniósł wiejskie obyczaje. W łódzkich zakładach pracy otworzono już 480 agencji PKO.

Po to otworzono, by klient miał wygodę.

Myśli kto, że agencje robią furorę? Gdzie tam. Świecą pustkami. Już lepiej, panie, pofatygować się do banku na Kościuszki. W banku nikt nikogo nie zna, a w pracy wszyscy jak te łyse konie. Nic się przed nimi nie uchowa. Ja tam wolę, żeby mi nikt do kieszeni nie zaglądał. Bo rozniesie się, że wkład duży i jakby uciął, nie dadzą ani premii, ani żadnej podwyżki. Pan wie jacy teraz ludzie. W łyżce by utopili z zawiści. Kolega kupił syrenkę na Zielonym Rynku, na tandecie i od 5 lat nie dostaje żadnego awansu. A bank to bank, jakbyś rzucił do studni, sam diabeł niczego nie wywącha. Tajemnica na amen...

Kto więc oszczędza w mieście.

Wszyscy. I wcale nie jest prawdą, że do PKO chodzą sami tylko dentyści, lekarze, galanteryjni sklepikarze i te kawiarniane bubki, które żyją z paczek lub nie wiadomo z czego. Przytłaczająca większość oszczędzających to właśnie robotnicy. Inna sprawa, że milionerzy również się trafiają. A jakże. Udają się do banku raz koło Wielkiej Nocy i obcinają te swoje 50 tysiączków. A jakże. Żyć można. Jeszcze jak. I to z samych tylko procentów. Ale państwo nie dokłada do tego interesu. Bądźmy spokojni. Ten milionik w ruloniku gdzieś tam sypie nam cementem, strzela rybnickim węglem koksującym, lub śmiga wieżowcem. W gruncie rzeczy wciąż jeszcze nie wiemy czy łodzianie są naprawdę oszczędni. Złotówka nie jest równa złotówce. Łatwiej przecież damskiemu skrobipięcie odłożyć tysiąc złotych w ciągu tygodnia, niż portierowi odłożyć 100 złotych przez rok. Możliwości są istotne. A już najbardziej umiejętność, albo też stopień ich wykorzystania.

Więc jeszcze jedna tabelka.

Mówi ona o ilości złotówek odłożonych do PKO z każdych 100 złotych zarobionych przez mieszkańców różnych rejonów kraju. Dane pochodzą z końca 1966 roku.

Łódzkie	**— 2.06 złotych**
Warszawskie	**— 2.92 „**
Rzeszowskie	**— 1.68 „**
Katowickie	**— 1.87 „**
Poznańskie	**— 2.03 „**
Kieleckie	**— 1.80 „**

To porażająca tabelka. Dowodzi, że przeżył się jeszcze jeden stereotyp. Wcale nie Poznaniacy, nie Ślązacy, a właśnie Warszawiacy są najoszczędniejszymi ludźmi w kraju. Z każdych zarobionych 100 złotych, prawie 3 odnoszą do banku. Łodzianie zajmują jedno z czołowych miejsc. I znowu refleksja ogólniejszej natury. Jaki wpływ mogą mieć te 60 miliardów złotych w PKO, z tego niemal 4 miliardy w okręgu łódzkim, na kształtowanie się gospodarki kraju? Czy w ogóle taki wpływ istnieje? Raczej tak. Człowiek, który dopracował się pewnych oszczędności, ma zaplecze, jest w jakiejś mierze niezależny. Może wybierać, umie również czekać.

Kronika tygodnia

■ Wicepremier Włoch — Pietro Nenni: My socjaliści jesteśmy przekonani, że wstępnym warunkiem do przywrócenia pokoju w Wietnamie jest zaprzestanie bombardowań amerykańskich.

■ Obradujący w stolicy Jordanii Światowy Kongres Islamski ostrzegł, że o ile ONZ nie zdoła doprowadzić do likwidacji kryzysu bliskowschodniego, wówczas muzułmanie zmuszeni będą podjąć dżihad (świętą wojnę), ażeby własnymi siłami rozwiązać ten problem.

■ Ludność ZSRR wynosiła w dniu 1 lipca br. 235,5 mln. Spośród tej liczby 83 mln. stanowili robotnicy i urzędnicy państwowych i spółdzielczych przedsiębiorstw oraz instytucji. Na każde 100 osób, 36 ma wykształcenie wyższe lub średnie. W Związku Radzieckim jest 712 tys. pracowników naukowych, tzn. czwarta część wszystkich pracowników naukowych świata.

■ Przewodniczący amerykańskiego związku zawodowego pracowników samochodowych — Walter Reuther wskazał, że koncern Forda zarabia co roku na każdym swoim robotniku przeciętnie 7 tys. dolarów.

■ AP: Rumunia bardzo ostro zaatakowała projekt układu o zakazie rozprzestrzeniania broni jądrowej. Szef delegacji rumuńskiej — pisze agencja — szczególnie ostro wystąpił przeciwko temu, że projekt układu nie tylko że zakłada, iż mocarstwa jądrowe nie będą podlegały inspekcji, ale również w ogóle nie zobowiązuje mocarstw jądrowych do podjęcia kroków w kierunku rozbrojenia.

■ W Sajgonie zakończono budowę nowego gmachu ambasady USA. Koszt ambasady wyniósł 2,6 mln. dolarów i zaprojektowana ona została w ten sposób, aby móc przetrwać oblężenie, ostrzał moździerzy oraz ataki ze strony manifestującej ludności. Projektant budowy, Robert Martin, powiedział, że cały gmach ma ochronę żelbetonową i nawet 75 mm działa odrzutowe nie mogą go uszkodzić poważnie.

■ AFP informuje, że w Moskwie ukazała się nowa „Historia Wielkiej Wojny Narodowej". Historycy obarczają Stalina odpowiedzialnością za pierwsze porażki radzieckie na początku wojny i dają obiektywną analizę walk. Tak np. N. Chruszczow, którego rolę pomniejszano w pewnych relacjach z wojny, zajął w nich ponownie właściwe miejsce. Mówi się m. in. o wydarzeniach z maja 1942 roku, kiedy znajdował się on na froncie charkowskim przerwanym przez ofensywę niemiecką. Jedyną odpowiedzialność za tę porażkę ponosi — zdaniem autorów pracy — Stalin właśnie dlatego, że „nie chciał on słuchać rady marszałka Wasilewskiego i członka rady wojennej N. Chruszczowa".

■ Sekretarz Generalny ONZ U Thant ostrzegł przed przyznawaniem pełnych praw członkowskich tzw. mikropaństwom. Przykładem mikropaństw mogą być Maladiwy, których 97 tys. mieszkańców żyje na 18 wyspach Oceanu Indyjskiego. To samo można powiedzieć o Anguilly, małej wyspie na Morzu Karaibskim, liczącej 6 tys. mieszkańców. O pełne członkostwo w ONZ ma zabiegać również wyspa Nauru (3 tys. mieszk.), jak również wyspa Pitcharil, licząca aż... 88 mieszkańców i zajmująca obszar 2 mil kwadratowych. Jest/ absurdalne — twierdzi się w ONZ — że tego rodzaju kraje mają takie samo prawo głosu jak wielkie mocarstwa. U Thant zaproponował, żeby krajom takim przyznawać statut członka stowarzyszonego.

■ Indira Gandhi uda się w październiku br. z krótką wizytą oficjalną do Moskwy na zaproszenie przewodniczącego

Odwiedzajcie Grecję! Będzie Was oprowadzał minister spraw wewnętrznych.

Tym samym staje się konsumentem wybrednym. Te miliardy w banku to swoista presja na przemysł. Jeśli fabryki nie chcą udławić się we własnych bublach, muszą szybko dostosować się do potrzeb rynku, więc przede wszystkim unowocześnić swe wyroby, które w większości wypadków są przestarzałe o kilka, nawet kilkanaście lat. Miliardy czekają też na sygnał generalnej i powszechnej motoryzacji. Ten sygnał wcześniej lub później dany będzie.

Lansowane niegdyś społeczne wypożyczalnie samochodów były dzieckiem martwym od urodzenia. Były pomysłem poronionym. Nie brały pod uwagę tych błyskawicznych zmian w technologii produkcji, które sprawiają, że nawet kraje średnio uprzemysłowione mogą dziś równie szybko produkować samochody, jak 50 lat temu zwykłe rowery. Za kilka lat ulice Moskwy będą tak samo zatłoczone strumieniem aut jak Piccadilly-Circus w Londynie, Wisły też nikt kijem nie zawróci. Spojrzenie na auto ascetycznie do życia nastawionych „materialistów" jako na przejaw mieszczańskiego zbytku, może tylko wywołać wzruszenie ramion. Widać po drodze zapomnieli o dialektyce. Głoszą ruch, a wierzą, jak się zdaje, w bezruch i wieczne tramwaje. Samochód powoli staje się przedmiotem codziennego użytku. Miasta się rozrastają. Uciekają na dalekie peryferia. Własny samochód to zwyczajnie możność punktualnego dotarcia do miejsca pracy. Inna sprawa, że państwo nikomu niczego nie zafunduje. Złudne marzenia. Sam, braciszku, przyłóż się bardziej do dzieła. Współczesny Polak na ogół orientuje się, że na cud ani w tej, ani w następnej pięciolatce liczyć nie należy. Można natomiast liczyć na PKO. Nawet trzeba. Wprawdzie stosowana jest planowo ogólnonarodowa oszczędność, która przybiera formę akumulacji, ale na indywidualną inicjatywę też pozostaje margines. I to duży. Tak zresztą być powinno gdyż, kto oszczędza jest przesiąknięty chęcią działania, jest optymistą. Kto odkłada — ufa. Dość, że obraz Polaka jako beznadziejnego oczajduszy, który wszystko zawsze potraci do grosza, od dawna już wylatuje ze starych, w ubiegłym wieku skleconych ram. Kto ma oczy do patrzenia i uszy do słuchania ten wie, że wszystkie te opinie o dziwnym, polskim charakterze trącą myszką, są stekiem bzdur, nad którym nie warto się zatrzymywać.

Ani się obejrzymy i rozległ nie się dzwonek w PKO.

— Wkłady przekroczyły 100 miliardów złotych.

Jeśli to nawet będzie Rubikon, to jedynie samochodowy.

Konkurs - ankieta

OCENIAMY ŁÓDZKIE PROGRAMY TELEWIZYJNE

Telewizyjna mieszanka programowa nadawana z różnych ośrodków, a mamy ich w sumie 8, zachęca do porównań. Jest przecież — mimo wspólnych celów i zadań, jakie realizuje — swoistym, permanentnym „turniejem miast" na antenie ogólnopolskiej. Zastanawiamy się nad tym, jak w porównaniach tych wypada w naszych oczach program łódzki, będący bądź co bądź reprezentantem naszego miasta i pośrednikiem kulturalnym w kontaktach z krajem? Nie dziwmy się pytaniu: czy rozróżniamy łódzkie programy w potoku innych, a jeżeli tak — to dlaczego? A może nasuwają się nam jakieś propozycje, może coś chcielibyśmy zmienić, ulepszyć... Znamy przecież swe miasto i mówiąc najogólniej i jego „możliwości": rodzaje przemysłu, określone placówki kulturalne i charakter środowisk naukowych i twórczych, a także specyfikę województwa. Znamy także ambicje kulturotwórcze polskiej telewizji i jej model, nastawiony — jak wiadomo — nie tylko na rozrywkę, lecz również funkcje poznawcze, wychowawcze i estetyczne. Model uwarunkowany stylem naszej kultury masowej.

Zwracamy się do Czytelników z naszym konkursem-ankietą, pragnąc ocenić działalność łódzkiej telewizji na antenie ogólnopolskiej i w służbie dla miasta oraz województwa, tj. ocenić także nasz program lokalny. Liczymy na zainteresowanie ankietą i żywy w niej udział. Jej wyniki na pewno przyniosą wiele cennego materiału. Mają one pomóc powstającej w Zakładzie Wiedzy o Filmie UŁ pracy poświęconej łódzkiej telewizji — najstarszemu po warszawskim ośrodkowi w Polsce. Mogą one mieć także znaczenie praktyczne dla pracy Łódzkiego Ośrodka TV. Pytania formułujemy w ten sposób, aby zapewnić Czytelnikom maksymalną swobodę wypowiedzi i oceny łódzkich programów.

Listy z odpowiedziami, wraz z wypełnionym kuponem, prosimy kierować na adres: Redakcja „Odgłosów", Łódź, ul. Piotrkowska 96, w terminie do dnia 25 października br.

Wszystkie listy z załączonymi kuponami wezmą udział w losowaniu nagród książkowych i — nagród w postaci zaproszenia dla uczestników konkursu-ankiety na spotkanie z twórcami programów łódzkich w studio ŁOT-u. Spotkanie będzie sfilmowane i obejrzymy reportaż z niego w ŁWD. (P. W.)

PYTANIA KONKURSU-ANKIETY:

1. Jak ocenia Pan(i) na tle programów innych ośrodków ogólnopolskie programy ŁOT-u: spektakle teatru TV, programy: publicystyczne, rozrywkowe, dziecięco-młodzieżowe, muzyczne i poranne dla szkół?

a) prosimy oceniać tylko te programy, które Pan(i) ogląda i stawiać noty od 1 do 5;

b) prosimy noty te uzasadniać, tj. odpowiedzieć na pytanie, jakimi względami kieruje się Pan(i) oceniając poszczególne programy?

c) prosimy także podawać dla przykładu tytuły programów, ew. zapamiętane nazwiska twórców i wykonawców.

2. Czy ogląda Pan(i) lokalny program ŁOT-u czy lubi go Pan(i) i dlaczego? (prosimy także o podanie ew. nazwisk ulubionych postaci występujących w programie lokalnym).

3. Który z zapamiętanych programów łódzkich dowolnego rodzaju przedstawiłby Pan(i) do specjalnej nagrody i za co: za typ, temat, autorów czy wykonawców?

4. Czy zdaniem Pana(i) ŁOT wykorzystuje wszystkie możliwości miasta i województwa realizując swoje programy? Jeśli nie, to dlaczego? (Prosimy o podawanie ew. propozycji programowych i innych jak np. ilość programów, ich terminy emisji itp.).

KUPON KONKURSOWY

1) Imię i nazwisko . . . . . .

2) Zawód . . . . . .

3) Czy jest Pan(i) posiadaczem telewizora . . . . . .

Jeśli tak, to od kiedy? . . . . . .

4) Ile osób korzysta przeciętnie z Pana(i) telewizora? . . . . . .

rady ministrów ZSRR A. Kosygina.

■ **Komentator dziennika „Baltimore Sun" przeprowadził rozmowę na tematy wojny wietnamskiej z grupą amerykańskich korespondentów prasowych, którzy mają za sobą długie okresy pracy w Południowym Wietnamie i doskonale orientują się w tamtejszej sytuacji. Ani jeden z nich — pisze „Baltimore Sun" — nie sądzi, że wojnę w Wietnamie można wygrać w oparciu o obecną politykę polegającą na wzmaganiu presji wojskowej, zwiększaniu liczby wojsk i rozszerzaniu bombardowań. Poglądy ich sięgają od głębokiego sceptycyzmu do całkowitej niewiary w możliwość zwycięstwa. „Oczywiście możemy wygrać — stwierdza jeden z korespondentów — jeżeli tylko pozostaniemy tu przez 100—150 lat".**

■ Związek Radziecki zamierza wydobyć w tym roku 286 mln. ton ropy naftowej, z czego w przybliżeniu 1/4 część przeznaczy się na eksport do 50 krajów.

■ **„Prawda": „Burżuazyjni przywódcy Izraela, jak również imperialistyczni, fałszywi dobroczyńcy okryli kraj niezmywalną, wieczną hańbą". Dziennik przypomina, że w hańbiących dla Izraela dniach czerwcowych 1967 r. oraz podczas ostatnich trzech miesięcy, rządzące koła Izraela zadały zdradziecki cios jednemu z najbardziej postępowych, najgłębszych dążeń setek milionów ludzi naszych czasów — ruchowi zmierzającemu do likwidacji kolonializmu i neokolonializmu. Usiłowali zniweczyć najbardziej postępowe przemiany w krajach arabskich. „Żaden uczciwy człowiek — kontynuuje dziennik — w tym również i Żyd nie może wahać się przed potępieniem tego haniebnego czynu".**

■ Amerykański admirał Moorer stwierdził, że Związek Radziecki, który pod koniec drugiej wojny światowej był przede wszystkim mocarstwem lądowym, podjął od tego czasu, a zwłaszcza w ciągu ostatniego dziesięciolecia poważne wysiłki aby stać się również wielką potęgą morską. Zdaniem admirała, radziecka flota podwodna jest największa w świecie. Moorer wskazał, że wojenne okręty nawodne ZSRR wyposażone są w najnowocześniejsze wyrzutnie rakietowe, posiadają „wzmożoną zdolność obrony, pojawiają się na pełnym morzu w pobliżu naszych jednostek mających do wykonania pewne określone zadania i coraz bardziej rozszerzają zasięg swoich operacji".

■ **„Żenminżipao": Wielka strategiczna zasada „niech rozkwita sto kwiatów, niech współzawodniczy ze sobą sto szkół myślenia" jest doniosłą częścią składową myśli Mao... Zgodnie z naukami przewodniczącego Mao, musimy użyć ostrej broni „sto kwiatów", aby gruntownie skrytykować i odrzucić wszelkie odmiany ideologii burżuazyjnej i rewizjonistycznej, kultywować wszystkie wonne kwiaty, które głoszą chwałę myśli Mao Tse-tunga, wykorzenić wszystkie trujące chwasty, które fałszują, atakują i zwalczają myśli Mao.**

■ W Kairze trwają przygotowania do trzech procesów w celu rozpatrzenia oskarżeń przeciwko osobom odpowiedzialnym za klęskę wojskową w wojnie z Izraelem. Jak informuje „Al Ahram", jeden z generałów — Odhaman Naser, który dowodził IV dywizją pancerną na Synaju, został pozbawiony swego stanowiska za to, że opuścił podległe mu wojska w ogniu walki i powrócił do Kairu bez rozkazu.

■ **Sekretarz Komitetu Wykonawczego KC Związku Komunistów Chorwacji — Mika Tripalo: Związek Komunistów musi zmienić swoją pozycję w społeczeństwie przekształcając się z klasycznej partii politycznej, rządzącej w imieniu klasy, w ideową i polityczną siłę działającą wewnątrz świata pracy, a zwłaszcza wewnątrz klasy robotniczej i zmierzającą do ukształtowania socjalistycznych stosunków społecznych.**

■ AFP donosi z Waszyngtonu, że do roku 1972 ilość głowic jądrowych pozostających w dyspozycji Pentagonu wzrośnie czterokrotnie. Ten wzrost siły atomowej — stwierdza agencja — ma nastąpić drogą przebudowy obecnie posiadanych pocisków rakietowych w taki sposób, że będą one odtąd wyposażone w kilka głowic jądrowych każdy. Ma to zapewnić — formułuje AFP — Stanom Zjednoczonym posiadanie takiego arsenału pocisków jądrowych, który by co najmniej dorównywał arsenałowi Związku Radzieckiego.

■ **Fidel Castro oświadczył, iż wyraża przekonanie, że Izraelczycy nigdy nie porzucą na drodze pokojowej podbitych terytoriów. Jego zdaniem czas nie gra na korzyść krajów arabskich. Jednakże — mówił Castro — nie kiedy porażka może stanowić bodziec polityczny którego brakowało na początku. Moim zdaniem, im wcześniej kraje arabskie przystąpią do ofensywy w celu odzyskania swych terytoriów, tym dla nich będzie lepiej. W każdym razie dla nas lekcje z kryzysu bliskowschodniego są jasne: nikt nie może uratować żadnego kraju, jeśli kraj ten nie jest zdolny sam się uratować.**

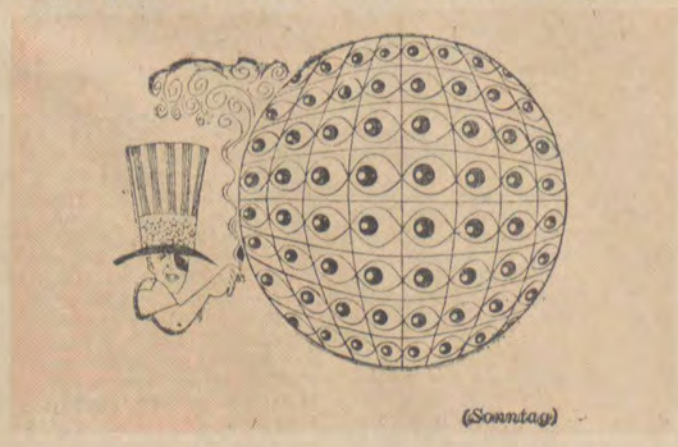

(Sonntag)

Nożycami przez PRASĘ

„JĘZYK MŁODZIEŻOWY"

Tym razem rozważania na ten temat znajdujemy w dwutygodniku „Pomorze". Autorka, Janina Słomińska, za punkt wyjścia bierze piosenki, zaczynając od przykładu pozytywnego.

Najcelniej, bo rozrywkowo i satyrycznie, spenetrował te rejony polszczyzny gwiazdor obecnego sezonu Wojciech Młynarski portretując wiernie we własnych piosenkach mentalność młodego człowieka anno 67 w jej środowiskowej szacie słownej.

Ale innym tekstom piosenek, skeczów i monologów z różnych względów daleko do Młynarskiego. Często właśnie jedynym dowcipem w takich tekstach jest „młodzieżowy" zwrot czy powiedzonko.

Nie bez racji stwierdza autorka artykułu:

Istnieje dziwna współzależność między niechlujstwem w mowie potocznej a niechlujstwem w tekście literackim przeznaczonym do masowego odbioru.

Zawsze istniał żargon środowiskowy. Może jednak nigdy tak się nie rozprzestrzeniał jak w naszych czasach, może nigdy nasz język nie zmierzał tak szybko do wulgaryzacji.

Ocenę świata, ludzi oraz własnej społecznej pozycji „młodzi gniewni" znakomicie zawierają w granicach trzech uniwersalnych słów. A są to popularne „pieprzyć" i jego bardziej wulgarna odmiana, dalej określenie pewnej typowo kobiecej profesji i dla równowagi synonimy „męskiego wdzięku".

Jest rzeczą oczywistą, że nie młodzież wymyśliła te określenia (wystarczy przystanąć na chwilę pod pierwszym lepszym kioskiem z piwem), ale młodzież z jakaś zadziwiającą łatwością adaptuje je dla własnych potrzeb językowych i eksploatuje do najdalszych granic.

Oczywiście, nie chodzi o jałowe narzekania w tak doniosłej sprawie i w sytuacji, w której winnych jest bardzo wielu. Przypomnijmy choćby, że starsi nieraz snobują się, przypochlebiają, nie chcąc uchodzić za „wapniaków".

Przyjrzyjmy się tedy wnioskom Janiny Słomińskiej:

Językowa nonszalancja świadczy o braku szacunku dla drugiego człowieka. Można jednakże znaleźć przyczyny obiektywne. Wydaje się, iż jedną z ważniejszych jest częściowe wyeliminowanie nauki języka łacińskiego ze szkoły...

Coraz wyraźniej obniżająca się kultura językowa jest efektem braku tzw. wzorca. Literatura, codzienna informacja prasowa i radiowa, piosenka w swej dążności do autentyzmu i dokumentaryzmu, bez względu na uzasadnienie artystyczne, pełną garścią czerpią z mowy potocznej. Z kolei mowa potoczna nie znajduje norm poprawnościowych w środkach masowego przekazu. W rezultacie wytwarza się sytuacja zamkniętego koła, do której doprowadziło przecenianie zasady — co powszechne, to poprawne.

Językowych „potworków" w szkolnych zeszytach nie wyeliminuje choćby najbardziej pracowity polonista. W szkołach bowiem, zwłaszcza średnich, recytacja traktowana jest po macoszemu... Głośne, bezbłędne czytanie z poprawnie rozłożonymi akcentami zdaniowymi i wyrazowymi staje się poważnym problemem nawet w klasie jedenastej.

Inne niebezpieczeństwo dla naszej mowy stanowi „język zbiurokratyzowany". Ale z tego przynajmniej często się pokpiwa!

MITY I PRAWDA

Jak wygląda ogólnokształcące szkolnictwo dla dorosłych? Liczby prezentują się dość okazale: 269 szkół, 129.000 uczniów...

Minęły czasy, gdy dokształcali się ci, o których mówiło znane hasło: nie matura, lecz chęć szczera... Dziś dokształcają się w zasadzie ludzie wiekiem młodsi, w jedenastej klasie przeważają uczniowie od 20 do 30 lat. Stanisław Bortnowski w „Życiu Literackim" stwierdza, że „przynajmniej w połowie szkoły wieczorowe stanowią azyl dla wylanych, czyli uczniów, którzy bądź zostali usunięci, bądź też sami się usunęli ze szkół normalnych". A więc chodzi o maturę bez chęci szczerej.

W liceach dla pracujących większość stanowią kobiety i dziewczęta. Mężczyźni ciągną do techników, no i w zasadzie są mniej pilni.

Państwo łoży na te szkoły, udziela ulg, zwolnień z pracy i urlopów. Nieraz korzystają z tego notoryczni wagarowicze. Program jest wzorowany na programie liceów dla młodzieży w wieku szkolnym.

Autor dość zdecydowanie zbija mit o walorach i pożytku tego rodzaju szkolnictwa. Stwierdza:

W praktyce licea dla pracujących to szkoły drugiego lub trzeciego gatunku, szkoły, którym daleko do znaku jakości.

I w związku z tym wysuwa następujące, niełatwe zapewne do zrealizowania, ale istotne postulaty:

Kwestia pierwsza: program. Spójrzmy prawdzie w oczy, przyznajmy się, że w warunkach, w jakich działają licea dla pracujących, trzeba innego programu, krótszego, możliwego do zrealizowania, mniej przeładowanego faktami, dostosowanego do wieku uczniów, programu, który przewidywałby możliwość uczenia się na lekcji i możliwość częstych powtórek, programu, który byłby elastyczny i nastawiony na warianty w zależności od profilu zawodowego słuchaczy... Potrzebna jest im suma wiedzy ogólnej — zgoda, ale przede wszystkim suma wiedzy przydatnej. Może nie licea dla pracujących, ale przede wszystkim technika, a jeśli już licea ogólnokształcące — to z wyraźnym profilem...

Kwestia druga: podręczniki. Mniej pakowne, przystępniejsze, z nową koncepcją dydaktyczną (praca na lekcji, ograniczenie materiału pamięciowego, nawiązywanie do wiedzy zdobytej już w klasach młodszych).

Kwestia trzecia: likwidacja niepotrzebnego miłosierdzia, to znaczy: zakład pracy udziela wszelkich ulg, jakich ma prawo udzielić słuchaczom, ale udziela tylko tym, którzy naprawdę się uczą. Drugoroczni z ulg takich nie korzystają. Tracą prawo do urlopów i wcześniejszych zwolnień z pracy uczniowie, którzy mają więcej niż 10—15 godzin nieusprawiedliwionych.

Dobrze, że to zagadnienie znalazło się na porządku dziennym. Należy mieć nadzieję, że zainteresowani rozwiną dyskusję. Oby pożyteczną i owocną!

JESZCZE JEDNO ECHO

Wrześniowej wizycie prezydenta Francji „Szpilki" poświęciły numer, w którym znalazły się i karykatury.

Na marginesie tego faktu zauważa „Prawo i Życie":

Tajemnica sukcesu „Szpilek"? Obiekt doceniający rolę szpilek w życiu politycznym. A, gdyby tak rodzinne obiekty wyniosły z koegzystencji poczucie humoru i zrozumienia jego roli i funkcji społecznej.

JAN OLECHNO

WIADUKT — nowa era

Dalszy ciąg ze str 1

jakiś czarodziejski sposób nadal głębokiego sensu, prawa do wielkomiejskich roszczeń. Chojny — NOWA ERA, ja w to wierzę; ulica Rzgowska, od Broniewskiego aż po cmentarz, więc na przestrzeni tysiąca metrów — leży w bajecznych rozkopach, legło kilkadziesiąt domów, padły drzewa i słupy, i na pewno jeszcze rok temu widok ten wzbudzał powszechne przerażenie; może nawet bali się ci, którym przyszło, w imię pięknej wizji, podnieść rękę na stare Chojny?

Właśnie! Kto to są, owi ludzie? Kto ośmiela się burzyć dzielnice, na których ciąży grzech brzydoty, tworzyć nowe, białe miasta na gruzach?

3.

20 lipca 1965 roku odbyło się uroczyste otwarcie wiaduktu na Żabieńcu. W parę miesięcy potem — 14 listopada — sprawdzony w żabienieckim boju kolektyw rozpoczął pracę na Chojnach. Ja się nie mylę: początek był trudny, pełen obaw. Niejeden inżynier i technik wpadał w zwątpienie. Piękna wizja papierowego projektu leżała głęboko pod gruzem rozwalonych domów, osiem tysięcy metrów sześciennych ziemi, przysypywało ambitne plany. Chojniacy, co tłumnie śledzili robotę, chwytali się za głowy i trwała pesymistyczna licytacja: „Pięć", „Dziesięć", „Piętnaście lat jak skończą". A byli tacy, co w ogóle nie wierzyli, że taką robotę można dociągnąć do końca. „Et, zabiorą się i pójdą, jeszcze gruz na ulicy zostawią". Ale przychodzili dzień po dniu, opętani ciekawością, dopingowali skrycie rozchwiane na wertepach koparki, traktory prujące mozolnie uliczny bruk. Mówi się czasem o dramatycznej, wymagającej odwagi robocie — chojniacy, jeśli ich popytać, przyznają, że robota przy wiadukcie miała nieraz takie dramatyczne akcenty. Jak wykopy wdarły się pod tor i szły w głąb na całej szerokości, a nad głowami pracujących ludzi przetaczały się pociągi, które, powiedzmy od razu, przejeżdżały tędy przez cały czas i to bez żadnych poważniejszych zakłóceń, przerzucane wraz z postępem robót — z toru na tor — więc jak przejeżdżały pociągi — ziemia drżała, wibrowała, piach osuwał się ze skarp, lawinki kamieni, tumany pyłu, krzyk gapiów temu towarzyszył, bo niejednemu się zdawało, że trzaśnie z hukiem ten rachityczny mostek-niemostek, ale ci, co patrzyli, bardziej to przeżywali niż ci co w ogniu pracy, zawzięcie prący do celu. Ja wiem, że piszę patetycznie. Że się rozklejam. Ale jest nad czym się rozklejać. Jest o czym pisać patetycznie. Możesz wierzyć albo nie wierzyć, ale ta robota była patetyczna, cholernie patetyczna. I patetyczni są ci ludzie, bo tam, gdzie w grę wchodzi zawziętość, upór i ambicja, gdzie praca staje się twórczością, a nie przymusową odwalanką ośmiu codziennych godzin na znudzonym tyłku — tam patos jest sprawiedliwością i potrzebą.

Zresztą... gdzie szukać takich załóg, jak ta — pracująca przy wiadukcie? Na kamieniu się nie rodzą. Nie tworzą się o tak, drogą przypadkowego doboru. Mówiłem, że kolektyw sprawdził się już wcześniej, na Żabieńcu. Tak było. Ale ludzie sprawdzili się jeszcze wcześniej. Inżynier Feliks Kamiński, inspektor nadzorczy inwestycji z ramienia DOKP — Warszawa, zanim trafił na Żabieniec i Chojny — przeszedł chrzest szybkiej, a dokładnej roboty na Wybrzeżu, a było to w roku 1947, kiedy kraj dźwigał się z ruin; on współpracował wtedy przy odbudowie kilkudziesięciu mostów kolejowych i odbudowa była błyskawiczna. A znowu inżynier Andrzej Pałczyński kierownik budowy z ramienia ŁPRI (Łódzkie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych — generalny wykonawca wiaduktu); Pałczyński jest młody, ale doświadczony. Politechnikę Łódzką ukończył w roku 1956, potem zdobywał kierownicze szlify na wielu budowach, był jednym z bohaterów inwestycji żabienieckiej, gdzie imponował wszystkim niespożytą energią i uporem, i jest jednym z bohaterów na Chojnach. A inni, cisi bohaterowie? Alojzy Cieślak i Marian Filipiński — mistrzowie z PRK — Warszawa, występują — można powiedzieć — gościnnie. Jeśli zapytać Filipińskiego czy Cieślaka, jak się czują w naszym mieście — powiedzą: dobrze. Mieszkają w hotelach robotniczych, z dala od rodzin, w owym słodkim, kawalerskim prymitywie. Ale czują się dobrze. Tacy zawsze czują się dobrze tam, gdzie prawdziwa robota; są potrzebni, ba, nawet niezbędni, i świetnie o tym wiedzą. Jest jeszcze wielu bohaterów na chojeńskiej budowie — Zbigniew Wolniak z ŁPRI, Alfred Wegner z Płockiego Przedsiębiorstwa Robót Mostowych, technicy, mistrzowie, robotnicy... A już chyba najpopularniejszy, najbardziej lubiany i ceniony w załodze jest zbrojarz — cieśla Ługowski; nie łodzianin, nie warszawiak, a mieszkaniec Płocka... Fama o nim krąży na budowie. Niby tylko wykwalifikowany robotnik, a przecież umie więcej od niejednego technika, ba, może nawet inżynierka... Wrodzona inteligencja, diabelny refleks, najzawilsze plany rozszyfrować potrafi w oka mgnieniu: robota wrze mu w rękach... Patrzyłem na tego człowieka i nie mogłem wyjść z podziwu: dwoił się, troił, brylował na skarpach, sprawdzał spojenia konstrukcji — a spawaczem jest pierwszej klasy — to znów rzucał swoim podwładnym krótkie, zwięzłe polecenia i oni szli za jego słowem z gotowością wzorowych żołnierzy. Właśnie żołnierzy, żeby oddać wszystkim sprawiedliwość, trzeba jeszcze napisać o wojsku, które z pełnym poświęceniem współuczestniczy w budowie wiaduktu. Betoniarze, drogowcy w mundurach, odbywający tu praktykę, zdobywający kwalifikacje, w tym twardym, męskim zawodzie — też w dużym stopniu złożą się na końcowy sukces. Widzę ich w głębokiej niecce, obok torów, gdzie pracuje nieprzerwanie koparka; długi żuraw z zębatą paszczą spada drapieżnie w dół, gryzie mokrą, żółtawą ziemię, rwie do góry; wtedy, jak na sygnał, chłopcy w mundurach ruszają do szturmu, skopują łopatami nawilgłe dno i odskakują na bok, bo żuraw znowu spada z drapieżnością sępa.

Dużo by mówić o tej pracy. Osiemnaście przedsiębiorstw w zgodnym, olbrzymim wysiłku zmienia stare Chojny. Kogo tu nie ma: drogowcy, elektrycy, specjaliści od instalacji gazowych, kanalizacyjnych, wodociągowych, monterzy kolejowi, tramwajarze, potężna armia transportowców... betoniarze z Płocka, ze swoją rewelacyjną metodą, dostarczają beton bez transportu, wprost z rur, pod ciśnieniem, dokładnie tam, gdzie trzeba. Eh, dużo by pisać o tej pracy, która wrze od świtu do zmierzchu, pośpiech... pośpiech... Na pozór ludzie pracują bez nerwów, a przecież tam, gdzie trzeba się spieszyć, nerwy muszą być. No dobrze, ale po co ten pośpiech? Czy żeby skończyć robotę przed zimą? W zimie mróz skuje ziemię, woda zamarznie w wykopach, człowiek w grubym waciaku nie ma już tej precyzji i pracować będzie wolniej. Ale tu chodzi nie o to. Ja wam zaraz powiem, o co chodzi. Posłuchajcie:

4.

Kiedy w listopadzie sześćdziesiątego piątego roku rozpoczęła się robota, była także w prowizorycznym planie data jej ukończenia: 22 lipca 1968. Długo to, czy krótko? Ja nie wiem. Wiem tylko, że wykopki pod kawiarnią „Agawa", którą widzę ze swojego okna, trwały trochę dłużej. Ale nic. „Długo" i „krótko" to słowa okazjonalne. Co dla jednych „krótko", dla innych „długo". Tym z Chojen było „długo". Kiedy, jak to się mówi, weszli na grunt i opanowali zasadniczy front robót — postanowili skrócić termin do 30 grudnia 1967 roku. Zagrała tu ambicja, podsycona sprytnie słowami wicepremiera Eugeniusza Szyra: „Jak Łódź chce mieć jeszcze inne wiadukty, to niech ten na Chojnach wybuduje szybko, w dwa lata". I Łódź chce, panie premierze, chce bardzo! Ten na Chojnach i ten w przyszłości: na Kopcińskiego.

Ale termin 30 grudnia 67 roku nie był terminem ostatecznym. Załodze, jako się rzekło, nie zbywa na energii i ambicji. Kiedy pomyślnie zakończył się rok sześćdziesiąty szósty i robota rozkręciła się na dobre — podjęto zobowiązanie: „Oddamy wiadukt z końcem października". Zobowiązanie to poparte zostało szczegółowym planem. Plan zbadano w pewnym biurze i to biuro po wnikliwym rozpatrzeniu sprawy przystało na ten termin.

No i teraz wiecie, dlaczego taki pośpiech. Załoga musi zdążyć, żeby zachować twarz. Załoga wierzy, że zdąży. Ja też wierzę. I mówię wam, chojniacy: 4 listopada br. odbędzie się uroczyste otwarcie!

5.

Prawo kompozycji przestrzennej jest bezwzględne. Chojny na tym skorzystają. Wiadukt (jak naiwnie myślałem: jedno małe, bezkolizyjne skrzyżowanie) odmienia oblicze dzielnicy w promieniu wielu kilometrów. Wiadukt musi zestroić się z okolicą, więc padły koślawe domki, rachityczne latarnie, drzewka rosnące dziko na chodnikach... Przebudowano stara niem miasta kilka większych arterii: Kilińskiego, Gagarina, Broniewskiego, Tuszyńską, także Rzgowską w jej dalszym biegu. Słuchy chodzą, że wykorzysta tę koniunkturę pewna spółdzielnia mieszkaniowa o wielopiętrowych ambicjach, że rozbuduje się zakład przemysłowy, że równolegle z torami poleci przestronna ulica — o tymczasowej, wybaczcie, ohydnej nazwie: „Nowotowarowa", że ulegnie modyfikacji chojeński dworzec kolejowy, a może nawet autobusowy, i nowa pętla tramwajowa powstanie, godna nowego oblicza...

Załoga wiaduktu prosiła mnie, abym złożył najserdeczniejsze podziękowania dzielnicowemu i łódzkiemu Komitetom Partii oraz Dzielnicowej i Miejskiej Radom Narodowym — za ogromną pomoc w budowie samego wiaduktu i za wielki wkład pracy nad zestrojeniem wiaduktu z okolicą. Nie ma dnia, aby działacze partyjni i Rad Narodowych nie odwiedzili budowy. Interesują się żywo najdrobniejszymi szczegółami i od pierwszych dni pracy — życzliwym stosunkiem i konkretną pomocą dopingowali załogę w boju.

Cztery długie dni spędziłem na budowie. Wciąga to człowieka jak narkotyk. Więc chodziłem po skarpach, siadywałem w biurze, wystawałem godzinami na moście, patrząc jak małe cwaniaki wydłubują z desek gwoździe. Mieszałem się z tłumem chojniaków popalających papierosy i śledzących jak dzieci długi przebieg pracy. Rajcowali zawzięcie wytykając palcami to i owo, i widać było jaką dumą ich napawa zmieniona dzielnica.

A po czterech dniach, kiedym się już napatrzył i nasłuchał do syta, tą samą drogą wróciłem, którą żem przyszedł, więc Rzgowską pieszo do placu Niepodległości, obok brzydkich domów i krzykliwego targowiska, na którym kołował wściekle handlujący naród. I pomyślałem sobie — przypatrz się dobrze tym domom i temu targowisku, i tym ludziom opętanym targami; przypatrz, bo za czas jakiś i tego nie stanie. Zaczęła się dla Chojen — nowa era.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ZOFIA LORENTZ

Byłam tam znowu

Który to już wrzesień z rzędu? Dwudziesty siódmy? Byłam znowu w tej wsi pod Kutnem. Nie wiem po co tam jeżdżę. Ale jeżdżę. Sama. „Oni" o tym nie wiedzą. A na myśl im nawet nie przyjdzie, żeby odwiedzić grób ojca. Dzisiejsze tempo życia na to nie pozwala. A pogarda dla sentymentalizmu, którym zwą zwykły przejaw uczucia — usprawiedliwia.

Ładnie tam sobie leży. Nie robiłam ekshumacji. Po co? Żeby oddzielić jego oficerskie kości od żołnierskich. Bo leży przecież we wspólnym grobie, z tymi, którzy jak on sam wzgardzili niewolą. Długie lata musiałam sama grób zabezpieczać. Ale od pewnego czasu nastąpiła zmiana. Już się nie wstydzimy bohaterstwa. Teraz same gminy pielęgnują wojskowe groby. A te, które ich nie mają, czują się pokrzywdzone.

Więc byłam tam znowu. Lubię, kiedy jest wtedy pogoda. A właśnie była. Nie tylko pogoda, ale wręcz upał. Tak, jak wtedy, dwadzieścia siedem lat temu. Dobrze się stało, że nie został ranny, tylko od razu trup. Bo w głowę dostał. Ładnie by się umęczył, umierając powoli na takim skwarze. Jarzębiny, które zasadziłam dwadzieścia sześć lat temu, pięknie wyrosły. Ich czerwone jagody nad brzozowym krzyżem są jakby symbolem... Symbolem czego? Eh, dajmy temu pokój! Kiedyśmy się rozstawali powiedział: „wychowaj ich na dobrych Polaków". Naturalnie miał na myśli naszych synów. Łatwo było zalecać. Leży sobie od dwudziestu lat w tej kutnowskiej ziemi i o nic go głowa nie boli. A ja przez ten czas? Co tu dużo mówić: wychować takich dwóch basałyków, a jeszcze w tych czasach, — to sztuka nie lada. A jeszcze na dobrych Polaków? O jakim modelu Polaka myślał? Pewno o sobie podobnym. Nie mógł przewidzieć w jakim świecie przyjdzie im żyć, to prawda. Ale ładnie by wyglądał, gdybym ich według jego modelu chowała. I tak jeszcze dziś mi wymawiają, że im pchałam humanizm na siłę. „Dzisiaj trzeba być twardym" — to ich maksyma. A nie rozumieją bęcwały, że my też potrafiliśmy być twardzi. Tylko w innym kontekście. A nawet niezłomni. Ale ten towar u nich nie w cenie.

Więc kiedy tam siedziałam na ławeczce, bo nawet ławeczkę gmina wystawiła i też z brzozowego drzewa — podeszła do mnie stara babka, pasąca w pobliskim rowie krowę. Powiedziałam „pochwalony", bo sam wiek babki mi to zalecał. „Na wieki wieków" — odpowiedziała skwapliwie i zaraz spytała:

— Syna tu macie?

— Męża — odpowiedziałam. Conajmniej ciekawością jej nie dotknięta.

Pokiwała głową.

— Dobre i to, że chociaż grób wiadomy. Mój ta nie wrócił z pierwszej wojny i ni wiedzą, gdzie kości złożył.

— Nie próbowaliście przez Czerwony Krzyż?

— Pani, gdzie mnie tam było w dawne czasy do Czerwonego Krzyża! Po wsi nie wróciło, gdzie by ich a choćby i ten Czerwony Krzyż szukał.

— Ale dzieci po nich chyba zostały?

— A zostały, zostały. A teraz to już jeich wnuki rządzą. Tylko starej babki żaden nie szanuje, bo powiadają, że to niemodne. Ale gront po starej dziedziczyć — to potrafili.

— Ale chyba do roboty już was nie pędzą?

— Nie pędzom, bom już niewydolno.

— Ale krowę pasiecie?

— Pasę, pani, bo mi się w chałupie przykrzy. A tu se przyjdę, w rowie siendę, albo i na tej ławce żołnierskiej: słoneczko grzeje, pszczółki latają, ptaki świergolą — co mi więcej trza?

— A wtedy, w trzydziestym dziewiątym, byliście tu?

— W tej ostatniej wojnie? przecie że byłam. Pół wsi z dymem poszło. Moi pociekli do lasu, a jo sie ostałam, bo mi bело wszyćko zarówno. Tyle żem wlazła na stryszek żeby widzieć, jak Niemce będą śli.

— I przyszli?

— Nie przyśli. Z daleka strzyloli i z daleka wieś zapolili. A jeszcze nasi rozkazali powiedział: „wychowaj ich na dobrych Polaków". Naturalnie miał na myśli naszych synów. Łatwo było zalecać. Leży sobie od dwudziestu lat w tej kutnowskiej ziemi i o nic go głowa nie boli. A ja przez ten czas? Co tu dużo mówić: wychować takich dwóch basałyków, a jeszcze w tych czasach, — to sztuka nie lada. A jeszcze na dobrych Polaków? O jakim modelu Polaka myślał? Pewno o sobie podobnym. Nie mógł przewidzieć w jakim świecie przyjdzie im żyć, to prawda. Ale ładnie by wyglądał, gdybym ich według jego modelu chowała. I tak jeszcze dziś mi wymawiają, że im pchałam humanizm na siłę. „Dzisiaj trzeba być twardym" — to ich maksyma. A nie rozumieją bęcwały, że my też potrafiliśmy być twardzi. Tylko w innym kontekście. A nawet niezłomni. Ale ten towar u nich nie w cenie.

Więc kiedy tam siedziałam na ławeczce, bo nawet ławeczkę gmina wystawiła i też z brzozowego drzewa — podeszła do mnie stara babka, pasąca w pobliskim rowie krowę. Powiedziałam „pochwalony", bo sam wiek babki mi to zalecał. „Na wieki wieków" — odpowiedziała skwapliwie i zaraz spytała:

— Syna tu macie?

— Męża — odpowiedziałam. Conajmniej ciekawością jej nie dotknięta.

Pokiwała głową.

— Dobre i to, że chociaż grób wiadomy. Mój ta nie wrócił z pierwszej wojny i ni wiedzą, gdzie kości złożył.

— Nie próbowaliście przez Czerwony Krzyż?

— Pani, gdzie mnie tam było w dawne czasy do Czerwonego Krzyża! Po wsi nie wróciło, gdzie by ich a choćby i ten Czerwony Krzyż szukał.

— Ale dzieci po nich chyba zostały?

— A zostały, zostały. A teraz to już jeich wnuki rządzą. Tylko starej babki żaden nie szanuje, bo powiadają, że to niemodne. Ale gront po starej dziedziczyć — to potrafili.

— Ale chyba do roboty już was nie pędzą?

— Nie pędzom, bom już niewydolno.

— Ale krowę pasiecie?

— Pasę, pani, bo mi się w chałupie przykrzy. A tu se przyjdę, w rowie siendę, albo i na tej ławce żołnierskiej: słoneczko grzeje, pszczółki latają, ptaki świergolą — co mi więcej trza?

— A wtedy, w trzydziestym dziewiątym, byliście tu?

— W tej ostatniej wojnie? przecie że byłam. Pół wsi z dymem poszło. Moi pociekli do lasu, a jo sie ostałam, bo mi bело wszyćko zarówno. Tyle żem wlazła na stryszek żeby widzieć, jak Niemce będą śli.

— I przyszli?

— Nie przyśli. Z daleka strzyloli i z daleka wieś zapolili. A jeszcze nasi rozkazali tendyta masterowali. Tom ze stryszku zlazła i jabłek im na drogę dałam. A tyż jajków parę, bo akuratnie kury w sianie zniesły. Bo się bojały widać tego strzylania i po drabinie, ścierwy, na strych lazły, żeby się tu nieść.

— A oficer z nimi był?

— Beł. Ino jak wyglądał — to już nie baczę.

— Może to był właśnie mój mąż?

— Mogło tak być, bo ludzie zaś potem godoli, że taki jeden zagubiony regiment bronił się do wygubienia, i że jabłka przy trupach znaleźli.

— Co komu po wiadomości, że Henryk przed śmiercią jadł jabłka. Równe dwadzieścia siedem lat temu jadł jabłka. A w pół godziny potem bił się do ostatniego naboju, i zginął. A swoją drogą, może, gdybym to wcześniej wiedziała, zasadziłabym mu jabłoń nad grobem zamiast jarzębiny...

Październik Iwanowa

Dalszy ciąg ze str. 1

ycznej do rewolucji socjalistycznej. Nawiązano także ścisłe kontakty z Moskiewskim Komitetem Obwodowym, który koordynował pracę Partii w czternastu guberniach centralnych.

W końcu kwietnia 1917 roku dotychczas samodzielna Rada Delegatów Żołnierskich 199 pułku rezerwowego stacjonującego w Iwanowie połączyła się z Rada Delegatów Robotniczych miasta. Tym samym garnizon uznał zwierzchnictwo Rady i zobowiązał się do wykonywania w pierwszym rzędzie jej rozkazów.

Ponieważ w Dumie Miejskiej (magistrat) wpływy bolszewików były znaczne, burżuazja i drobnomieszczaństwo dla obrony swoich interesów utworzyły „Związek Producentów". Od maja szereg fabryk zaczyna ograniczać produkcję, a tydzień roboczy zredukowano do 3—4 dni. Te posunięcia wywołały protesty ze strony związków zawodowych i komitetów fabrycznych.

Z inspiracji partii, 2 czerwca, Rada powzięła uchwałę w sprawie przestrzegania pełnego tygodnia zatrudnienia i wprowadzenia kontroli robotniczej w fabrykach i przedsiębiorstwach. Doszło wówczas do masowych demonstracji, w wyniku których administracja dopuściła delegatów robotniczych do współrządzenia zakładami wytwórczymi.

Gdy 5 lipca dotarły do Iwanowa wiadomości o rozgromieniu przez rząd Kiereńskiego demonstracji robotniczej w Piotrogrodzie, Rada poleciła żołnierzom 199 pułku piechoty obsadzić pocztę, telegraf oraz dworzec kolejowy. Następnego dnia odbyła się masowa demonstracja ludności pod hasłem: „Cała władza w ręce Rad". Burżuazja nie odważyła się na otwartą kontrakcję. Natomiast w końcu lipca starała się ona zdyskredytować Radę, wysuwając oskarżenie, że działała jakoby „przeciwko interesom ludu" i „nadużyła zaufania wojska". Cała ta akcja inspirowana i kierowana przez mieńszewików i eserów obróciła się przeciwko inicjatorom. Proletariat Iwanowa, podczas nowej fali demonstracji, zaakcentował swą solidarność z posuniętymi Rady jako reprezentantki ludności miasta.

Tymczasem w sierpniu, na polecenie właścicieli, których większość opuściła miasto, administracja zaczęła zamykać fabryki. Stanęły największe zakłady Połuszyna i Markuszyna. Wówczas delegacja Rady udała się do Piotrogrodu, by tam interweniować w sprawie uruchomienia fabryk i zwiększenia dostaw żywności dla okręgu. Niestety, czynniki centralne — Związek Wytwórców i Główna Komisja Aprowizacyjna odprawiły delegację z niczym.

Sprawozdanie wysłanników wywołało falę protestów i rezolucji skierowanych przeciwko rządowi Kiereńskiego. O nastrojach ludności Iwanowa w tym czasie świadczą wyniki wyborów do Dumy Miejskiej. Dotychczasowa twierdza burżuazji i drobnomieszczaństwa została zdobyta gdyż na 102 radnych wybrano we wrześniu 58 bolszewików i 8 sympatyków partii.

Duma w nowym składzie uchwaliła ściąganie od fabrykantów podatku na wypłatę zasiłku dla bezrobotnych. W kilku mniejszych zakładach, porzuconych przez właścicieli, robotnicy sami podjęli produkcję i zorganizowali zbyt gotowych wyrobów.

Ingerencję robotników w sprawy administrowania fabrykami właściciele uznali za zamach na „święte prawa własności" i odpowiedzieli częściowym lokautem. 20 października w całym okręgu iwanowskim rozpoczął się strajk protestacyjny prawie 300.000 masy robotniczej. Równocześnie komitety fabryczne przystąpiły do gorączkowego rozbudowywania dotychczas niezbyt licznych oddziałów Gwardii Czerwonej.

Rady Robotnicze i Żołnierskie Iwanowa Szuji i Kineszmy powzięły 21 października rezolucje uznającą Rząd Tymczasowy za zdrajcę rewolucji i wezwały wszystkie Rady Guberni Włodzimierskiej do nieuznawania tego rządu i przejmowania władzy w terenie. Bezkrwawa rewolucja w okręgu iwanowskim wyprzedziła wydarzenia w Piotrogrodzie i Moskwie. Delegaci Rad wyjeżdżając na II Zjazd do stolicy wieźli rezolucje swoich wyborców, że oni już nie uznają Rządu Tymczasowego i żądają, by Zjazd objął władzę w całym kraju.

25 października wieczorem podczas posiedzenia Rady Iwanowa nadeszła depesza o zwycięstwie powstania zbrojnego w Piotrogrodzie. Natychmiast został wybrany Tymczasowy Sztab Rewolucyjny. W jego skład weszli przedstawiciele Komitetu Partyjnego i Rady: A. Żugin, F. Samojłow, D. Furmanow, D. Szorochow i inni. Komitetowi Żołnierskiemu 199 p.p. polecono obsadzić punkty strategiczne w mieście oraz internować tych oficerów, którzy sprzeciwią się uznaniu władzy Rad.

Elementy kontrrewolucyjne w Iwanowie były zbyt słabe, by pokusić się o wystąpienie zbrojne w obronie Rządu Kiereńskiego. Jedynie urzędnicy poczty i telegrafu ogłosili 26 października strajk protestacyjny. Żołnierze Łączności nie dopuścili do przerwy w obsłudze telefonów i telegrafów, a po aresztowaniu kilku pocztowców, pozostali podjęli pracę pod warunkiem wypuszczenia ich kolegów. Prośbę tę spełniono.

Nastroje radości w Okręgu Iwanowskim zamąciły wiadomości nadchodzące z Moskwy o przedłużających się walkach zbrojnych. 28 października przewodniczący Rady w Szuji — Michał Frunze wezwał żołnierzy i czerwonogwardzistów do formowania oddziałów ochotniczych, które miały udać się na pomoc Moskwie.

30 października wyruszyła pod dowództwem Frunzego na odsiecz „starej stolicy", jak nazywano wówczas Moskwę, grupa żołnierzy i robotników z Szuji. Następnego dnia uformowano podobny oddział składający się z robotników i żołnierzy Iwanowa. Wieczorem około tysiąca ochotników z karabinami maszynowymi i zapasem amunicji wyruszyło do Moskwy. Jednakże w drodze zatrzymała ich depesza Frunzego. Zawiadamiał on, że walki już są rozstrzygnięte na korzyść rewolucji, zaś Komitet Bezpieczeństwa wyłoniony przez eserów i mieńszewików przy poparciu burżuazji prowadzi pertraktacje w sprawie warunków kapitulacji **).

W walkach październikowych nie wzięli więc bezpośredniego udziału robotnicy i żołnierze Iwanowa. Lecz bliskie już były dni, gdy proletariat okręgu włókienniczego przystąpi do formowania oddziałów armii czerwonej dla walki z Kaledinym, Korpusem Czechosłowackim i białogwardzistami na Powołżu i Uralu. Wysiłek Iwanowa w obronie zdobyczy października okaże się olbrzymi i będzie trwać aż do zakończenia wojny domowej w Rosji.

W pierwszych dniach listopada Rady Iwanowskiego Okręgu Przemysłowego zdobyły całkowity posłuch w całym okręgu, nawet u przeciwników politycznych. Strajk robotników został przerwany, a fabrykantom postawiono ultimatum co do uruchomienia przedsiębiorstw i dopuszczenia do zarządu delegatów robotniczych. W połowie listopada większość zakładów przemysłowych okręgu już podjęła pracę.

Wobec pełnego zwycięstwa sił rewolucyjnych w całym okręgu włókienniczym dalsze istnienie Tymczasowych Szłabów Rewolucyjnych, powołanych dla wprowadzenia w życie hasła: „Cała władza w ręce Rad", okazało się zbędne. W połowie listopada uległy one rozwiązaniu. W tymże czasie przeorganizowano Rady, przystosowując je do pełnienia funkcji administracyjnych, gospodarczych i kontrolnych.

Okres pokojowego rozwoju Władzy Rad nie trwał jednak długo. Nadchodziły coraz groźniejsze wiadomości o mobilizowaniu sił kontrrewolucji, o narzucaniu robotnikom i chłopom wojny domowej pod egidą oficerów kozactwo oraz partii popierających nie istniejący rząd Kiereńskiego. Konieczność wysiłku zbrojnego ponownie stanęła przed robotnikami Okręgu Iwanowskiego. Na gmachu Rady umieszczono transparent z nowym hasłem: „Wszystko dla obrony Władzy Rad".

Hasło to będzie, niestety, aktualne w ciągu długich czterech lat wojny domowej w Rosji.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

*) Wszystkie daty w niniejszym artykule podano wg obowiązującego wówczas w Rosji kalendarza juliańskiego (tzw. stary styl).

**) Szereg prac wydanych w latach 1938—1962 wzmiankuje o udziale ochotników Iwanowa w walkach na ulicach Moskwy pod dowództwem Frunzego w okresie od 31. X. do 2. XI. Informacje te nie znajdują potwierdzenia w źródłach.

ANDRZEJ F. GRABSKI

O pierwszym polskim podróżniku do Mongolii

W 1957 r. biblioteka amerykańskiego uniwersytetu Yale zakupiła w Londynie XV-wieczny rękopis, zawierający kopię sławnej encyklopedii z XIII w. pióra Wincentego z Beauvais. Nikogo by to nie zainteresowało, gdyby w tekście dzieła nie znalazły się dwa rewelacyjne dla świata nauki źródła: obszerna opowieść o Mongołach, którzy w XIII stuleciu stanowili postrach całej Europy, oraz bardzo cenna mapa. Dopiero po ośmiu latach zostały one opublikowane i jesienią 1965 r. wybuchła prawdziwa sensacja.

„Najbardziej ekscytujące kartograficzne odkrycie naszego wieku" — pisała prasa amerykańska o nowo odnalezionej mapie. Wedle brytyjskiego badacza, który ją opracował, R. A. Skeltona, miałaby to być najdawniejsza karta, na której przedstawiono ląd amerykański, wykonana znacznie przed odkryciami Kolumba, bo ponoć około 1440 r. Jednakże pogląd ten spotkał się od razu ze sprzeciwem innych uczonych, którzy poczęli kwestionować jej datowanie, jak również wysunęli koncepcję, że podaje ona imaginacyjny obraz świata legendarnego w tej części, która dotyczy lądów na zachód od Europy. Dyskusja, w której bierze głos wielu uczonych z różnych krajów wciąż trwa, a w ferworze polemik usunięto na drugi plan ogłoszoną wraz z mapą rewelację o Mongołach, zatytułowaną „Historia Tartarorum".

Tymczasem wiąże się ona z dziejami Polski i już jako taka powinna nas bliżej zainteresować. Napisał ją niejaki „C. de Bridia". Z tekstu wynika, że był on franciszkaninem podległym władzy Bogusława, prowincjała na Czechy i Polskę w latach 1247—1251, któremu dzieło zostało dedykowane. Najpewniej powstało właśnie z jego polecenia. Nie jest wykluczone, że nasz autor pochodził z „de Briga", tj. ze śląskiego Brzegu. Jeżeli zaś pisał się „z Brzegu" a nie mógł być np. zakonnikiem tamtejszego klasztoru, bo ten powstał w 1272 r., to zapewne się tam urodził i najpewniej był Polakiem. Pracę swą ukończył 30 lipca 1247 r. i oparł, jak powiada, o informacje uzyskane od Jana de Plano Carpini, oraz jego towarzyszy — braci Benedykta Polaka i Czesława Czecha. Z wyjątkiem ostatniej, są to osoby dobrze znane: chodzi o sławnego podróżnika, wysłanego przez papieża do Tatarów i jadącego wraz z nim Benedykta z Wrocławia zwanego Polakiem. Ponieważ jeszcze z początkiem czerwca 1247 r. znajdowali się oni w Kijowie a dopiero w pierwszych dniach października dotarli do Kolonii drogą na Kraków i Pragę — nasza „Historia" zaś powstała przed 30 lipca, kiedy autor ją ukończył — napisano ją najprawdopodobniej albo w Polsce, albo w Czechach.

Przyjrzyjmy się chwilę osobie Benedykta. Nie wiemy skąd pochodził, późna tradycja zakonna podaje, że urodził się w Wielkopolsce. Był już zapewne we wrocławskim klasztorze, kiedy w kwietniu 1241 r. hordy tatarskie wtargnęły na Śląsk i być może widział pogrzeb Henryka Pobożnego, którego pochowano u franciszkanów we Wrocławiu. Chyba znajomość z prowincjałem saskim, którego władzy podlegały do 1238 r. klasztory czeskie i polskie, późniejszym legatem Janem de Plano Carpini spowodowała, że kiedy jeszcze przed soborem lyońskim papież wyznaczał 11 marca 1245 r. skład poselstwa mającego się udać do Tatarów, w dokumencie prócz legata Jana i niejakiego Stefana Węgra wymieniono właśnie Benedykta. Dołączył on do posłów po drodze, kiedy z Pragi, zaopatrzeni w listy polecające do księcia Bolesława Rogatki, przybyli do Wrocławia. Jako człowiek wykształcony, świetnie znający łacinę i języki słowiańskie, został tłumaczem a praktycznie i sekretarzem legata. Podróżnicy podążyli naprzód do Łęczycy, gdzie przeprowadzili ważne rozmowy polityczne, po czym do Krakowa i pociągnęli na Kijów, gdzie stanęli w początkach lutego 1246 r. W okolicy Kaniowa, gdzie przyszło im zostawić chorego Stefana, wkroczyli do ziem zajętych przez Tatarów. Ci rychło ich pojmali i po dłuższych perypetiach odesłali do Batu-Chana, który rezydował w Saraj-Batu, nieco w górę od ujścia Wołgi. Na drugi dzień po przybyciu (6. IV.) uzyskali u niego audiencję, po czym — zostawiając zgodnie z rozkazem, innych towarzyszy drogi — 8 kwietnia w eskorcie dwóch Tatarów ruszyli w daleką podróż w głąb Azji. Towarzysz legata Benedykt był więc pierwszym znanym z imienia Polakiem, który przebył drogę przez kraje Kumanów, Kangitów, Chorezmijczyków, Karakitajów i Najmanów do Mongolii. 22 lipca 1246 r. podróżnicy stanęli w pół dnia drogi od Karakorum, w wielkim obozie Syra-Orda, gdzie zebrało się już mnóstwo Mongołów, celem wyboru Wielkiego Chana. Prócz nich bawili tu już książę Suzdalski Jarosław, posłowie z Gruzji, Bagdadu, Chin i wielu innych, którzy mieli uświetnić uroczystości elekcji. Wszyscy oni byli ciekawymi widzami przy obwoływaniu chanem Gujuka, wnuka Czingiz-Chana i mogli obserwować jego intronizację (24 VIII.). Poseł papieski i brat Benedykt nieprędko uzyskali posłuchanie. Wprawdzie bezpośrednio po wyborze polecono im oddać czołobitność władcy, ale chan nie kwapił się, by ich zawezwać, a na domiar złego pogorszyły się warunki ich pobytu. Z pomocą przyszedł złotnik w służbie chańskiej, Rusin Kosma, który zabiegał dla nich o żywność. Dopiero mniej więcej po miesiącu sekretarz władcy przekazał polecenie, aby przedstawili swoje sprawy na piśmie. Dość długo trwało, zanim zdołano przełożyć wszystkie pisma przy pomocy tłumaczy — dopiero 11 listopada dopuszczono podróżników przed oblicze Gujuka. Odpowiedź na list papieski, polecający chanowi m. in. przyjęcie chrześcijaństwa i zawierający ostre zarzuty w sprawie mordowania chrześcijan (w tym i Polaków) musiała być odmowna. Wręczono im ją w języku „saraceńskim" (dopiero gdy w 1920 r. Polak C. Karalewski odnalazł oryginał w Watykanie okazało się, że list ten był napisany po persku) i przekładzie łacińskim, po czym 13 listopada wyprawiono w drogę powrotną. Wiodła ona znanym już szlakiem na Ruś, Polskę, Czechy do Lyonu.

W drodze do Europy podróżnicy przystąpili do spisywania raportu o swej misji. Tym, który go redagował wedle wskazówek legata był nasz Benedykt; Carpini po powrocie uzupełnił go i nadał ostateczny szlif. Jeszcze podczas pracy nad dziełem udostępniano je różnym zainteresowanym. A ciekawych było wielu — prosił o informacje król Węgier Bela, jednym z nich był prowincjał Bogusław, sam Benedykt będzie opowiadał swe wrażenia jakiemuś duchownemu w Kolonii...

Porównanie dzieła C. de Bridia z pierwszą wersją opowieści Carpiniego pokazuje, że była ona głównym, choć nie jedynym źródłem informacji franciszkańskiego autora. Co więcej, aż cztery razy powołał się on imiennie na Benedykta, w wielu innych wypadkach ogólnie na informacje „naszych braci". Przy bliższym zbadaniu sprawy okazuje się, że polski podróżnik najprawdopodobniej nie tylko udostępnił C. de Bridii redagowaną przez siebie relację, ale sam mu ją objaśniał i komentował. Stąd w dziele naszego autora znalazły się nowe, nieznane z innych przekazów informacje, a wśród nich ciekawy opis najazdu tatarskiego na Polskę w 1241 r. Nie jest on tak rewelacyjny, by go tutaj przytaczać, ale przynosi ciekawe szczegóły, takie jak to, że na Polskę ruszyło jedynie 10.000 wojska, wspomina o śmierci jakiegoś wodza mongolskiego w Sandomierzu, opowiada wreszcie, że Henryk Pobożny nie poległ w walce pod Legnicą, lecz został wzięty do niewoli, przymuszany do oddawania czci ciału poległego wodza, ograbiony a następnie zabity, po czym odciętą jego głowę wysłano do Batu na Węgry...

Benedykt pojechał wraz z Carpinim do Lyonu, Nie wiemy, kiedy i gdzie zapisano jego własne opowiadanie o odbytej podróży, znane pod nazwą „Relacja brata Benedykta Polaka". Choć tym razem nie on dzierżył pióro, jest to najstarszy polski opis podróży, który nie wiedzieć czemu, nigdy nie został u nas ani wydany, ani przetłumaczony. Nasz bohater niebawem wrócił do kraju. Legenda kazała mu umrzeć śmiercią męczeńską gdzieś na Wschodzie około 1248 r., tymczasem okazuje się, że w 1252 r. jest on gwardianem franciszkanów w Krakowie i uczestniczy w spisywaniu „Cudów św. Stanisława". Domyślano się, że zabiegał o jego kanonizację, że był w Asyżu kiedy papież wynosił Polaka na ołtarze — ale to wszystko przypuszczenia. Jakie były jego dalsze dzieje — dotychczas nie wiadomo.

Mongoł z koniem. Rysunek z XIII wieku.

Wspomnienie o Wacławie Mrozowskim

Zmarł Wacław Mrozowski. Szerszej publiczności był on może nie dość znany, gdyż rzadko ogłaszał swoje utwory w prasie codziennej i czasopismach i nie brał aktywnego udziału w życiu literackim. Ale miał krąg gorących zwolenników, czego najlepszym dowodem fakt, że zbiorki jego wierszy nie zalegały półek księgarskich. Kiedy na pięćdziesięciolecie jego urodzin ukazały się „Wiersze wybrane" (1962), już w kilka miesięcy później mogliśmy przeczytać w biuletynie informacyjnym „Domu Książki", że nakład ich został całkowicie wyczerpany. A przecież wiemy, że tomiki poetyckie nie rozchodzą się łatwo. Czym wobec tego wytłumaczyć powodzenie wierszy Wacława Mrozowskiego? Jest to poezja wzruszeń i uczuć, przesycona umiłowaniem krajobrazu ojczystego, ujęta w komunikatywną formę. Mniej więcej przed rokiem zwróciłem się do młodego krytyka-polonisty, aby zrecenzował dla „Odgłosów" szczupły tomik Mrozowskiego „Z Johnem Barleycornem". Młody krytyk był tym zbiorkiem głęboko poruszony. Powiedział: „Wie pan, to jest bardzo ludzka poezja". O, właśnie to: ludzka, pisana językiem przyswajalnym, wolna od zmiennych mód, wierna sobie.

Chociaż Wacław Mrozowski pozostawił w swoim dorobku również dwie książki prozą, był on przede wszystkim poetą. Zaczął od wierszy i skończył na wierszach, pisanych już na łożu szpitalnym. Te ostatnie wiersze są bardzo proste i głęboko wzruszające. Pisał je człowiek świadomy nieodwracalności swego losu, pogodzony z nim w obliczu zbliżającej się śmierci.

Wacław Mrozowski zmarł w wieku lat 55. Nie jest to, jak na pisarza, wiek podeszły. Pisarz znajduje się wtedy zazwyczaj w pełni sił twórczych i tym większy żal, że Mrozowski musiał zejść ze świata w chwili, kiedy miał wiele planów i pracował omal do ostatka nad książką wspomnień o Łodzi. A nie był łodzianinem ani z urodzenia, ani z długiego zamieszkiwania w tym mieście. Urodził się w Chełmie Lubelskim, gdzie spędził dzieciństwo i młodość, i gdzie ukończył seminarium nauczycielskie. Od r. 1934 przebywał w Warszawie, związany z grupą Józefa Czechowicza, którego był przyjacielem. Czas tej warszawskiej egzystencji odtworzył Mrozowski w książce wspomnień „Cyganeria" (1963), miejscami bardzo realistycznie. Będąc w Warszawie pracował w Związku Nauczycielstwa Polskiego, próbował sił aktorskich (w „Reducie"), był wreszcie kuratorem Sądu Grodzkiego dla Nieletnich. Z jego przeszłości aktorskiej pozostały mu duże umiejętności sztuki recytacji. Mrozowski należał do świetnych interpretatorów poezji własnej i cudzej, co — jak wiadomo — jest raczej rzadkością wśród ludzi piszących. Chętnie też stawał na estradzie w roli recytatora. W pamięci mojej utrwaliło się wrażenie z jego bardzo udanych recytacji wierszy Włodzimierza Majakowskiego.

Okupację spędził częściowo w Warszawie, częściowo w Radomiu, gdzie pracował w fabryce telefonów „Ericsson". Przez pół roku siedział z wyroku okupanta, w radomskim więzieniu. W początkach 1945 roku powołano Mrozowskiego do wojska, skierowując go do Centralnego Domu Żołnierza w Łodzi. Po zdemobilizowaniu wyjechał na Dolny Śląsk i osiedlił się w Solicach koło Wałbrzycha. Tam właśnie go poznałem, gdyż sam mieszkałem wówczas w okolicach Jeleniej Góry. Należeliśmy razem do jeleniogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, któremu prezesował Edward Kozikowski. Pamiętam nasze spotkanie. Była złota polska jesień. Chodziliśmy po przepięknym parku solickim, pod naszymi nogami szeleściły liście, których pełno leżało w alejach. Rozmawialiśmy długo i żarliwie. Oczywiście o literaturze. A potem piliśmy w jego domu wino. Wacław miał koncepcję pisarza-cygana i realizował ją konsekwentnie we własnym życiu. Była to koncepcja miła, choć nieco anachroniczna, rodem z Młodej Polski, z przybyszewszczyzny. Przez wiele lat nosił się z zamiarem wydania obszernej antologii utworów, poświęconych umiłowaniu absyntu.

W latach dolnośląskich Mrozowski był bardzo czynny. Pisywał do gazet wrocławskich dużo i często, redagował tygodnik społeczno-kulturalny „Wałbrzych", działał społecznie. Do Łodzi sprowadził się w 1950 roku, i pozostał już w niej na zawsze. Bardzo owocny okazał się ten jego pobyt na Dolnym Śląsku. Zapisał się on w twórczości Mrozowskiego dwiema pozycjami literackimi: zbiorkiem wierszy „Liryki dolnośląskie" oraz tomem prozy pamiętnikarskiej „Dolnośląskie wspominki". Proza ta daje wgląd w owe pionierskie lata. Mrozowski z właściwą sobie skrupulatnością odnotował w niej wiele faktów, tak charakterystycznych dla tamtego czasu, wskutek czego „Dolnośląskie wspominki" są nie tylko osobistym pamiętnikiem pisarza, lecz także swoistym dokumentem epoki.

De mortuis aut bene, aut nihil. O zmarłych mówić albo dobrze, albo nic. Ale przecież zmarli byli kiedyś żywymi ludźmi, mieli swoje namiętności, z jednymi żyli w zgodzie i przyjaźni, do innych odnosili się z niechęcią. O Wacławie Mrozowskim powiedział ktoś bardzo trafnie, że do końca zachował w sobie wiele z chłopięcości. Był młodzieńczo porywczy, reagował natychmiast, nie przepuszczając swoich reakcji przez filtr refleksji. Ta młodzieńczość stanowiła o jego uroku, ale też wprowadzała go, często jakże niepotrzebnie, w konflikty z ludźmi. Wacław Mrozowski umarł jako człowiek, ale nie umarł jako poeta. Żyje w swoich wierszach, w tym, co napisał. Wierzę, że jako poeta żył będzie dalej, bowiem pozostawił w poezji swoje myśli, marzenia i tęsknoty. Pozostawił w poezji całego siebie.

JAN KOPROWSKI

WACŁAW MROZOWSKI

Do Marii

Jestem jak ptak powrotny. Pamiętasz jaskółki
na basztach strychu? Ja do dziś wspominam.
Mówiłaś kiedyś, dziecku, że z nimi do spółki
zwiedzamy ciepłe kraje. I wracamy wiosną.

W letargu przeminęło dzieciństwo i młodość
i w uśpionej pamięci żaden znak nie został
z tych płynących lat i czasu płynnego jak woda, —
obudził mnie żar ognia i zagrodził drogę
zmuszając do powrotu. Ty mi rękę podaj.
Staruszko moja, dzisiaj tak jak dawniej młoda
i ulżyj męce, która ciąży od kołyski.

Więc powracam, choć z wiosny pozostały gruzy
tak jak z naszego domu rozbitego czasem, —
rozdarty jak piorunem drzewo w czasie burzy,
powalony romantyk na nieludzkiej ziemi.

Żyłem nie tak jak chciałem. Surowy jest klimat
z którego wracam. Ale i tu nie inaczej,
wiosna nigdy nie wróci — będzie wieczna zima,
tu i tam tragizm życia jednako sobaczy.

Ale przyjmij jak syna, powrotnego ptaka
z połamanymi skrzydły. Zapomnij o żalu.
W domu rozbitym czasem, spokoju i ciszy
pragnę.
I oczu twoich siwych w tym bolesnym kraju.

* * *

Głowę nabitą posypuję
żalem pochylym, co jak popiół
z palonych ciał wonieje nocą
i przypomina stary werset
żem z prochu powstał i w proch się
obrócę — wieczny płomień drzewa.

I wiem, użyźnię chłonną glebę
fosforem kości, krwią zakrzepłą,
że się rozśpiewam kiełkiem w niebo
nie istniejący już na zawsze
człowiek...

* * *

Kazimierzowi Andrzejowi Jaworskiemu

Często wracam do dawnych lat
jak wilk morski stęskniony za morzem
nadający tęsknocie swej kształt...
Wtedy, Ciebie, widzę Profesorze.

Wyobraźnię alkohol rozżarza
i z letargu budzi tamte czasy...
przed oczyma stają bliskie twarze...
i Ty wchodzisz z uśmiechem do klasy...

Siedzę w ławce ostatniej przy ścianie,
oczy wszystkich zwrócone w mą stronę,
a ja czytam wypracowanie:
„Moja przyjaźń z Johnem Barleycornem".

Gdzieś w połowie zaczęły drżeć usta
rozejrzałem się z lękiem wokół
klasa ciszą zgnieciona i pusta
w okna puka skrzydłem kruk mroku.

Patrzysz na mnie wzrokiem surowym
rozumiejąc przyjaźni tej tragizm
zamieniony w wielkiego niemowę
życiorysu nie skończę. Jest nagi.

Zatrzymawszy więc w połowie zdanie
przez ćwierć wieku błądzą jak we śnie, —
kiedyż skończę to wypracowanie
byś rozgrzeszył z życia i z pieśni...?

Często wracam do dawnych lat
jak wilk morski stęskniony za morzem
nadający tęsknocie swej kształt
wtedy, Ciebie, widzę Profesorze.

* * *

Króliczkowi

Biorę Twą lewą rękę w swoją prawą dłoń
Ty bierzesz moją —
I czytam z Twojej smutek a w tym smutku
żal,
Ty z mojej śmierć.

I bez słowa, bo one nic już nie powiedzą
całuję cień Twych ust —
Ty w milczeniu, kamiennym bólu i narodzin
gasnący żar moich oczu.

Tele-obiektyw

O różnym wypełnianiu okienek

Rozczłonkowanie programu telewizyjnego między poszczególne redakcje podyktowane było praktyczną koniecznością. Ma ono jednak i złe strony. Wąskie grupy osób — nawet najzdolniejszych — z czasem wyjaławiają się. Po przygotowaniu dużej ilości programów zawodzi inwencja, a w opróżnione miejsce wślizguje się nieuchronnie schemat i sztampa.

Weźmy dla przykładu program „Z Warszawą na ty". Jaka jest jego koncepcja? Chyba żadna. Zwykły reporterski worek, który zapycha się co tygodnia byle jak. Rolę łącznika, czy też elementu konstrukcji programu spełnia niezmiennie jego współautor, ukazujący się na wizji na zasadzie podobnej do prezentera Dziennika Telewizyjnego. Zresztą jest jednym z prezenterów DTV, a twarz jego oglądamy z ekranu nieraz i kilka razy dziennie.

Nie mogę odpędzić myśli, że tak przygotowany program potrzebny jest raczej prowadzącemu niż telewidzom. Że autor trzyma się swego odcinka kurczowo, mimo że po dłuższym czasie eksploatacji nie ma już nic do powiedzenia. Całość zaś funkcjonuje na zasadzie rozpędu i przyzwyczajenia.

Mógłbym podać i inne przykłady degeneracji niektórych „okienek" programowych, ale korci mnie, żeby zająć się innym przykładem. Pozytywnym. Nie zawsze oglądam dwutygodnik publicystyczny „Refleksje". Widziałem ostatnie jego wydanie (28 września) i twierdzę, że tu autorzy mają widzom istotnie coś do powiedzenia.

Tytułu „Refleksje" nie przyjęto na wyrost. Magazyn redagowany jest na zasadzie drążenia poruszanych spraw, reporterki pogłębionej.

Tak. Jest to również program reporterski. Przywykliśmy ze słowem reporterka łączyć najbardziej doraźny rodzaj działalności dziennikarskiej.

Przysłuchajmy się samemu słowu „reporterka". Czy nie brzmi deminutywnie, nie kojarzy się z lekkim kalibrem? Nie przeoczmy jednak faktu, że reporterka jest podstawową cegiełką dziennikarstwa, najbardziej dlań reprezentatywną. Lekceważenie budzi może reporterka płytka, powiedziałbym: plasia, bo przypominająca ptaki przeskakujące z miejsca na miejsce w poszukiwaniu rozsypanego ziarna.

Autorzy „Refleksji" nie zbierają materiału do magazynu na oślep. Przeważnie obierają sobie jakiś wspólny mianownik dla całej edycji i poszukują z myślą o nim. Celem tej monotematyczności nie jest wypełnienie trzydziestu minut czasu telewidza. Autorzy starają się wyjść poza granice czasu ekranowego i dać odbiorcom programu materiał do przemyśleń.

Ostatni magazyn poświęcony był wojnie i jej różnorodnym konsekwencjom. Temat tak często eksploatowany, a przecież autorom udało się uniknąć powtórzeń i powielania treści znanych. Chodziło im przede wszystkim o te skutki ostatniej wojny, które wywierają nacisk na dzień dzisiejszy, na psychikę ludzi, którzy na przestrzeni ponad dwudziestu lat pozornie o jej okropnościach zapomnieli, usuwając uporczywie wspomnienia ze swej świadomości, albo też tych, którzy ze względu na młody wiek w ogóle nie pamiętają.

W jednym z segmentów magazynu red. A. Mularczyk opowiadał wstrząsającą historię o człowieku, który w chwili wybuchu wojny miał dwa lata, a więc, który wojny nie znał. Wojna zapukała jednak do jego drzwi po dwudziestu latach.

Człowiek ten przed paru tygodniami, czy miesiącami, trafił przypadkiem na zniszczony bunkier partyzancki, a w nim na raportówkę zabitego dowódcy oddziału. W torbie była lista konfidentów gestapo i policji niemieckiej. Przy niektórych nazwiskach znajdowały się krzyżyki, oznaczające, że organizacja patriotyczna wymierzyła zdrajcom sprawiedliwość, ale przy innych krzyżyków nie było. Ci ludzie żyją po dziś dzień i znalazca raportówki ich zna.

Rozpoczyna się dramatyczny nacisk na znalazcę, próby włamania się do niego, listy z pogróżkami, wreszcie nabój rewolwerowy porzucony na progu jego domu. Ktoś pamiętający czasy wojny wyjaśnia mu, że to oznacza wyrok śmierci. Znalazca wpada w panikę, spala publicznie raportówkę, ale przestaje chodzić w niedzielę do kościoła, by nie spotkać się z tymi, których nazwiska widniały na liście zdrajców...

To wstrząsające opowiadanie, lub inna relacja o „pierwszym żołnierzu trzeciej wojny", który w lesie podlubelskim przesiedział w bunkrze dwadzieścia lat, oczekując na nową wojnę i pędząc żywot na poły zwierzęcy, świadczy o tym, że oddziaływanie wojny daleko przekracza czas jej trwania. Wojna toczy jak ciężka choroba organizm społeczny i psychikę ludzką. Rekonwalescencja trwa nieraz bardzo długo.

Wracając do toku mego felietonu, twierdzę, że dwutygodnik „Refleksje" uznać można za wzór dobrze wypełnionego „okienka" w programie. Czy za jakiś czas zespół redaktorów nie wystrzela zapasu amunicji? Być może. Rzeczą kierownictwa programowego TV jest stała weryfikacja, w jaki sposób uprawiane są półka wypuszczone w pacht poszczególnym grupom realizatorów.

Władysław Orkowski

EXPO-N.

Szanowny Panie Redaktorze

W trzech niewielkich pokojach Muzeum Sztuki ruch niebywały. Mnóstwo ludzi: mężczyzn, kobiet, dziewcząt i chłopców. Ludzie chodzą uśmiechnięci i ożywieni: tu pstrykną kontaktem: światło się zapala i gaśnie; — tam potrząsną wiszącym stołem z malowanymi piłeczkami ping-pongowymi. Piłeczki tańcują w lustrzanych miseczkach i rzucają kolorowe fale na brzegi miseczek, — ówdzie trącają wiszące ramy z metalowymi kuleczkami — kuleczki stukoczą o blaszane przegródki; gdzie indziej znowu poruszają lustrzanymi szybami i wyczarowują przestrzenne sznury idących w głąb świateł.

W ciemnej kamerze wojenne niebo z błądzącymi światłami reflektorów. Światła krzyżują się, wędrują — poszukują nieustannie samolotów. Całe to urządzenie składa się z siedmiu kryształowych pryzmatów — dwa z nich w ruchu obrotowym rozsyłają tęczowe promienie na inne pryzmaty — te z kolei odsyłają je dalej na wszystkie strony — cała ciemna płaszczyzna szklanego nieba poprzecinana jest nieustającym wędrowaniem kolorowych promieni. Brak tylko ryków pikujących samolotów, wybuchów bomb i pocisków przeciwlotniczych — a złudzenie byłoby całkowite.

Z kamery obscury ludzie wracają na jasną salkę, gdzie w rogu kręcą się dwa światy: jeden czarny, drugi biały — zawieszone nad sobą pionowo. Wykonane ze szkła i drutu, — u sufitu napęd — ludzie patrzą w górę i stwierdzają: bateryjka. — Światy te — żywcem przypominają polskie światy klejone z opłatków, nie mechaniczne — które dawniej wieszano u belek powały wiejskich chałup. A na ścianach wiszą ni to koronki, ni to labirynty — ni to kolorowe posadzki; — przecierasz oczy bo kolorki różowe i zielone są wściekłe; — wydaje ci się, że coś ci siadło na soczewce oka i przeszkadza patrzeć; — ścierasz więc, przecierasz! — diabła tam! — siedzi na oku i mży i łaskocze: — takie to chytre zestawienie kolorystyczne.

Albo w kwadratowych rameczkach wiszą siateczki, paseczki, lub koncentryczne, cyrklem wykonane kółeczka — jedne na czarno, drugie na biało — na dwóch szybach.

I gdy przechodzisz — zależnie od punktu widzenia, w którym się znajdujesz — powstają wzorki, kółka jak na wodzie — i cała ta powierzchnia pulsuje, mieni się — posiada dwa dna — rusza się. Albo biała tarcza precyzyjnie strzyżona w koncentryczne promienie — przez wąskie szpareczki widać czarne tło, — i znowu gdy się ruszysz, okrągły promienisty kwiat wędruje za tobą tak — jak zechcesz.

— Albo kalejdoskopy z kontaktowymi klawiszami; — możesz pstrykać: powstają cztery różnobarwne kombinacje.

(Stwierdzasz też, że stare, archaiczne kalejdoskopy były jednak bardziej pomysłowe — bo za każdym przewróceniem powstawały coraz to inne warianty kompozycyjne, a tu są tylko cztery).

Ale to nic, — bo zabawa jest niezła i ludzie pchają się, aby brać udział w uruchamianiu urządzeń.

Na przeciwległej ścianie wisi duża prostokątna tablica rozdzielcza z dziewięcioma światłami: niebiesko-czerwono-żółte. Kontakty pstrykają samorzutnie i głośno — światła zapalają się i gasną — zupełnie jak na ulicach.

Wszystkie te przedmioty są śliczne, precyzyjnie wykonane z pleksiglasu, papieru, szkła, metalu i tworzyw sztucznych. Nic temu zarzucić nie można — ba! — podziwiasz doskonałość wykonania. I wydaje ci się, że wielkie miasto ze światłami, regulującymi ruch wielkich mas ludzkich, neonami, sygnałami wywoławczymi, reklamami — wszystkimi kręciołkami i wskazówkami, które tam — w metropolii są funkcją i koniecznością — tutaj zamknięte w malutkich salkach stają się tylko estetyką. Estetyką, której tak bardzo wypierają się twórcy tego widowiska wielkomiejskiego — czterech Włochów z Padwy.

Cały ten cyrk programowany w małym formacie jest zabawny, wesoły, pełen beztroskiego humoru — nie ma tu miejsca na żadną poetykę, zadumę, myślenie czy przeżywanie — tu jest tylko czysta wizualna radość. Coś wyłącznie dla oka — bez historycznych obciążeń i zanieczyszczeń — jak chcą twórcy.

I ludzie cieszą się, biorą udział w uruchamianiu tych zabawek, tak pomysłowych a jednocześnie nieskomplikowanych — gdzie wszystko staje się złudzeniem — gdzie każdy człowiek bez przygotowania może to uruchomić jednym prostym ruchem.

I ludzie włączają się w tę zabawę, śmieją się, zupełnie jak w maleńkim lunaparku — dokąd idzie się wyłącznie po wesołość.

Jeżeli tę programowaną wizualność określi się jako sztukę współczesności — to dalsze konsekwencje tego myślenia: najprawdziwszymi artystami są wynalazcy, konstruktorzy i inżynierowie, którzy tworzą najprawdziwsze dzieła sztuki współczesnej: pojazdy mechaniczne, podwodne, latające i rakiety kosmiczne. Bo taka rakieta jest jak najbardziej programowanym arcydziełem, można ją uruchomić, posiada całe systemy sygnałów świetlnych, słuchowych, radiowych i radarowych, posiada bogactwo dźwięków, zapachów, wewnątrz ma mnóstwo atrakcji wielorakich — jest nieustannie programowaną, latającą przygodą i tak dalej — można tak w nieskończoność mnożyć zalety tego niezwykłego i najbardziej nowoczesnego arcydzieła.

I co najważniejsze — to arcydzieło jest jak najbardziej funkcjonalne, — owszem estetykę posiada — ale ona jest niejako wtórna; pierwszą jest funkcja. W takim zestawieniu dziwnie te elegancko wykonane przedmioty są ubogie; — informacje w nich zawarte (jak się dziś żąda od dzieła sztuki) są niewystarczające dla człowieka współczesnego, są za ubogie, niewiele mówiące — za prymitywne, za proste i jednoznaczne. Za bardzo leżące na powierzchni.

Może jednak za dużo się wymaga od tych dzieł? Bo wizualne to widowisko wcale nie chce być poważne i dostojne — przeciwnie — chce bawić — hałasować. Co udaje się w stu procentach — najlepszy dowód, to uśmiechnięte twarze zwiedzających.

Cały ten wesoły kram bardziej jest już amerykański niż europejski.

A Ameryka to wiadomo: Kanada — naród bardzo młody, przedsiębiorczy, widowiskowy, hałaśliwy i bogaty; ma dolary, a kto ma dolary ten ma rację — światła, rampy, sygnały, neony, tłumy — gdzie coraz mniej czasu na myślenie — a coraz więcej na patrzenie. Gdzie złudzenia wzrokowe stały się już tak potrzebne do życia jak chleb i woda. W pewnym momencie na podłodze pod ścianą zobaczyłem jeszcze jeden eksponat umieszczony oryginalnie, bo na ziemi. Był to krzyżak wykonany z blachy aluminiowej olśniewającej czystości, na nim umocowane były na przemian dwie prześliczne, autentyczne płaskie żarówki; żarówki do połowy malowe i białe. Cała ta kompozycja była bardzo estetyczna, leżała na ciemnej podłodze i od niej odbijała się efektownie piękną konstrukcją i celowością. Podziwiałem to dzieło — i byłem mocno zdziwiony — prawie zaszokowany — gdy schylił się po nie i podniósł z ziemi za rączkę pomocnik filmowego operatora. Podniósł to urządzenie do góry — pstryknął — żarówki zaświeciły i dał się słyszeć terkot kamery filmowej. Okazało się, że to był flesz!

Byłem mocno zawiedziony, bo myślałem, że to było dzieło sztuki, a nie przedmiot użytkowy. Szkoda! — bo już w myśli dorabiałem teorię estetyczną.

Zresztą artyści z Padwy włączają się silnie w życie i przedmioty użytkowe nazywają dziełami sztuki. Można i tak. To tylko kwestia sposobu myślenia i przyzwyczajenia.

Wernisaż był nadzwyczaj udany. Widziało się mnóstwo znakomitości, wielkich artystów, estetów i koneserów ze stolicy, Krakowa i naszego miasta. Były koniaki, koktejl i napoje chłodzące, które roznosili wytworni kelnerzy.

Nawet przybył sam Ary Szternfeld.

Gwar rozmów był tak duży, że tylko fragmenty elektronowej muzyki docierały do ucha; — wstępujące w górę; opadające w dół i zanikające mechaniczne dźwięki.

Wszystko było w dobrym tonie — zupełnie jak w wielkim mieście na ważnym, międzynarodowym przyjęciu.

Słowem: zarówno ludzie na wernisażu jak i eksponowane dzieła sztuki były bardzo interesujące; — czuło się w powietrzu wielkie wydarzenie.

Panu Stanisławskiemu należą się dzięki za tę imprezę, za szereg imprez, które zbliżają nasze miasto do Europy — a może nawet do Ameryki.

Łączę wyrazy szacunku

WACŁAW KONDEK

P.S. A z tą świadomością, Panie Redaktorze, to jest tak, jak z grą na flecie: zatkasz jedną dziurkę — otworzy ci się druga. Gdy zamkniesz tę drugą, otworzy się ta pierwsza. Gdy zamkniesz wszystkie — nie ma gry; — gdy otworzysz wszystkie — także jej nie ma. Ale najważniejsza rzecz to dmuchanie.

LOS centaura

Kiedy młody pisarz amerykański John Updike wydał pierwsze tomy swojej prozy, krytyka zarzucała mu, że grzęźnie w autobiografizmie, że nie umie wyjść poza krąg doznań, zakreślonych własnymi przeżyciami. Dalszy rozwój pisarstwa Updike'a skompromitował (jak często bywa) sztywność kryteriów krytyków, którzy opatrzyli etykietką słabości to, co stanowiło zalążek jego siły. „Autobiografizm" pisarza zataczał coraz szersze kręgi, aby wreszcie, oderwawszy się od swoich źródeł, wznieść się do rangi uogólnienia, szczególnie w „Centaurze" i „Farmie". Co to znaczy: porzucił swoje źródła? Są dwie postaci autobiografizmu. Zawarte w utworze fakty i impresje mogą skłaniać do wiązania ich z autorem jako indywidualnością pozaliteracką. W takim wypadku pisarz dąży do skonstruowania świata o cechach niepowtarzalnych, przyporządkowanego tylko sobie. Proza oparta na takiej zasadzie może być nawet interesująca, ale obraca się w błędnym kole, z którego nie ma wyjścia na szersze tereny literatury, noszącej cechy uniwersalizmu. Autobiografizm może jednak przybrać taką formę, że podmiot traktuje się jako konstrukcję fikcyjną, najbardziej przydatną do wyrażenia świata literackiego, umownego, i wówczas związki z rzeczywistą biografią realnego „ja" stają się nieistotne. Taka fikcyjna biografia stawia na powtarzalność, na uogólnienie. Droga pisarska Johna Updike'a prowadzi od pierwszego do drugiego typu autobiografii.

Prawdziwa wrzawa krytyczna wybuchła jednak dopiero wokół „Centaura" wydanego w r. 1963. Spierano się przede wszystkim o to, co oznaczają elementy mitu greckiego w powieści? Jaką rolę pełni indeks, umieszczony na końcu książki „ułożony" za radą mojej żony, Chirona i Prometeusza", indeks, który wskazuje, że za postaciami powieści ukrywają się wcielenia bogów greckich. Jest żartem, czy wyraża tęsknotę do mitu arkadyjskiego? Dlaczego nękany życiem nauczyciel Caldwell jest centaurem?

W. Sadkowski, recenzujący „Centaura" w „Nowych Książkach" zinterpretował ten pomysł na zasadzie żartu szkolnego. „Przezwano" zapewne nauczyciela centaurem. Łagodnie mówiąc, to nieporozumienie. Indeks i centaur — Caldwell to dwie różne, mimo pozorów, sprawy, choć razem wzięte, wskazują na stosunek Updike'a do mitu arkadyjskiego. Indeks jest niewątpliwie kpiną, może nie tyle z czytelnika, co z krytyków, a także z literatury rwącej się do Arkadii. Kpina ta, czy to zamierzona czy nie, uderza m. in. w Wildera i jego „Kabałę". Jaki jest natomiast klucz do sprawy Chirona? Wydaje się nim być zdanie, wypowiedziane przez mitycznego stwora przed śmiercią. „Dlaczego czcimy Zeusa? Bo nie mamy nikogo innego".

Chiron, dręczony bólem, zapragnął śmierci i zszedł na ziemię, prosto w doczesną powłokę Caldwella. Nie można twierdzić, że powieść ma dwa plany: „realistyczny i mityczny", bo Updike właśnie swój wysiłek koncentruje na stworzeniu jednego planu. Caldwell przeobraża się w naszych oczach w centaura. Po prostu raz nazywa się tak, a raz inaczej. Biedny nauczyciel jest dręczony bólem swojej marnej egzystencji i dlatego tak biega do lekarza, że w głębi duszy pragnie śmierci. Chirona boli noga, zraniona strzałą, więc zszedł na ziemię, aby umrzeć. Ich los jest tożsamy. I obydwaj są outsiderami. Szkolna rzeczywistość potwornieje, nadrealnieje dla Caldwella, a boska dla centaura. Co chciał osiągnąć Updike, realizując taki właśnie pomysł? Niewątpliwie wyeliminowanie czasu, z pewnością parabolę. Ale jaką? Wierzymy w Zeusa, bo nie mamy nikogo innego. Ludzie stworzyli bogów i mity, ludzie wymyślili Zeusa, Herę i Wenus, a także Chirona, który wybrał śmierć. Stworzyli w ten sposób iluzję wolności wyboru. I świadomość, że to iluzję, prezentuje właśnie Updike. Ale z drugiej strony jaki to wybór? Między wiecznym bólem a nieistnieniem. Nieistnienie jednak trzeba uzasadnić. Mit dla pisarza nie jest więc równoważnikiem absolutu, dowodem powtarzalności, a więc nieumierania. On go racjonalizuje, zamienia w antymit. Nie powtarza, ale odsłania jego korzenie. Uświadamia najbardziej gorzką prawdę — że człowiek rozpaczliwie kombinuje, jak uzasadnić niebyt.

Czy Caldwell jest antybohaterem? Wciąga włóczkową czapkę na uszy, krząta się wokół drobnych kłopotów, boi panicznie, że wyleci z posady, ale wybiera śmierć. Zaprzeczyć chce swojemu antybohaterstwu? Updike czci dwoistość w każdej postaci. „Niebo to rzecz dla człowieka niepojęta, ziemia — mieści się w jego rozumieniu. On sam jest stworzeniem z pogranicza nieba i ziemi" — brzmi drugie motto „Centaura".

Ale Updike odziedziczył spadek faulknerowski, choć po swojemu go przeobraził. W biografii klęski pachnie wistaria. Język pisarza jest przywiązany bałwochwalczo do każdego szczegółu marnej ludzkiej egzystencji. Nawet obraz psa, który wpada do pokoju, opracowany jest z pietyzmem i przyznać trzeba, znakomicie. Updike drąży w języku kontury tego, co musi skończyć się fiaskiem. Jest to język bogaty, poetycko ozdobny. Zaprzecza zwięzłości. Wyznacza drugi biegun amerykańskiej prozy.

Konstruując „Centaura" Updike nie liczy się z czasem. Łączy jego plany, wykorzystując zdobycze symultanizmu. Mowa pogrzebowa nad grobem Caldwella miesza się z monologiem jego syna, monolog z narracją autorską. Porusza przedmioty, które przychodzą do człowieka. I najdziwniejsze jest to, że zupełnie odszedł od tych zabiegów w „Farmie". Updike ma w tej chwili 35 lat, więc za wcześnie, aby pisać o jego ewolucji, która nie musi biec po linii prostej. Ale „Farma" ma formę spokojną, tradycyjną. Tylko, że spod tej formy wysuwa się bezlitosny pazur analizy psychologicznej, rozdzierającej na strzępy uczucia opatrzone etykietkami, podlegające językowej klasyfikacji. Nie ma tu już pogranicza nieba i ziemi. Jest tylko ziemia. Właśnie farma — dobrze ukryta metafora.

Powieść ma bardzo wątłą fabułę „wydarzeniową". Ale jest w niej zasobna „akcja" psychologiczna. Świetne dialogi służą do zasygnalizowania tego, co się za nimi ukrywa, wymagają „dopowiedzenia". Stwarzają serię napięć, które rozładowują się i znów wzbierają, tworząc rzeczywistą fabułę na przekór pozornej, zewnętrznej. Młody jeszcze (na linii smugi cienia) człowiek ożenił się drugi raz po rozwodzie. Razem z nową żoną i jej synem odwiedza farmę, którą rządzi jego matka. Spędzają tam kilka dni. I już od początku zarysowuje się trójkąt — on i dwie one — żona i matka. Kobiety walczą o mężczyznę. I druga żona, która zabrała go pierwszej, nie może go zabrać matce. Mężczyzna jest bardziej dzieckiem niż kochankiem. Wciąga go przeszłość — (nic dziwnego, Updike jest pisarzem amerykańskim). Co z czym o niego walczy? Rozum kobiecy, rozum utylitarny, z seksem. Matka kocha farmę. Tylko farmę — a nie męża (już nie żyje) i syna. Farmę — a więc co? Swoją wizję domu, stabilizacji. Innej pojąć nie jest w stanie. Mąż do tej wizji nie pasował — nie oszczędzała go. Nie oszczędza i syna — miłość macierzyńska objawia się jako drapieżny egoizm. Plan domu, który w sobie nosi, przewidział Joey'a na farmie. Kobiety w tym przeszkadzają, więc je zwalcza. Uwodzi, zaraża farmą syna Peggy. To zemsta. Wyciąga z lamusa sprawę Joan — pierwszej żony. Zna siłę oddalenia, wie, że przeszłość jest kamieniem u szyi. Syn jak echo powtarza sądy matki — mężczyźnie wmówić można wszystko — w dodatku powielając cudze sądy głęboko wierzy, że sam jest ich autorem. Matka mówi: Peggy jest głupia, on po pewnym czasie odkrywa: ona jest głupia. Matka mówi: kochałeś Joan i dzieci, on odkrywa: naprawdę kocham tylko Joan i dzieci. Zdradza Peggy z matką, zdradza matkę z Peggy. Jest amoralny. Kto wygrywa w tej walce? Joey jest konformistą. Odjeżdża z Peggy, ale mówi do matki, o naszej farmie. Już zdradził. Porzuca tak że matkę, która lada chwila może umrzeć. W sielskim światku na farmie toczy się walka na kły i pazury, walka egoizmów. Updike jest bezlitosny. Obrońcy wzniosłości natury człowieka mogliby wytoczyć mu proces o ostrość widzenia. Ukrył ostrze w pięknostkach swojej prozy. Bo jak w „Centaurze" jest w „Farmie" dotykalna uroda języka. I fascynacja sprawami seksu — odróżnienie siły przyciągania, która jest prawdą, od jej ozdób, które są iluzją, którymi kierują słowa innych.

W „Farmie" nie ma dobra ani zła. Nie ma spraw ostatecznych, nie ma nieba, nawet sztucznego. Jest ziemia — w zbliżeniu. Centaur spadł na nią — na cztery łapy.

Czy ta powieść to zapowiedź następnego etapu drogi pisarskiej Updike'a? Odpowie na to jego dalsza twórczość.

W polskim przekładzie ukazały się trzy książki Updike'a Gołębie pióra, PIW 1965, Centaur, „Czytelnik" 1966 i „Farma", PIW 1967.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

TERESA WOJCIECHOWSKA

KTÓRĘDY droga do Domu Kultury?

Rozpoczął się kolejny rok kulturalno-oświatowy. Rozpoczął się w warunkach pewnej organizacyjnej stabilizacji: dzięki wieloletnim doświadczeniom wykiarowały się typy placówek najwłaściwsze dla naszego modelu kulturalnego.

Największym „potentatem" w dziedzinie działalności kulturalno-oświatowej są związki zawodowe. Prowadzą w Łodzi 113 świetlic, 25 klubów i 6 domów kultury. Placówki związków zawodowych przeszły w ubiegłym roku ogniową próbę wielkiego festiwalu kulturalnego, zorganizowanego z okazji Tysiąclecia. Festiwal był nie tylko imponującym przeglądem. Ożywił i scementował wiele zespołów niezbyt aktywnych, obudził ambicje i instynkt zdrowej rywalizacji. Z tej atmosfery sporo pozostało dla dalszej codziennej pracy, już systematycznej i bez zrywów.

Jaka jest ta codzienna praca? Czy przynosi zamierzone rezultaty? Czy liczba placówek kulturalno-oświatowych w naszym mieście jest wystarczająca? O pomoc w tych rozważaniach poprosiliśmy doświadczonych, wieloletnich praktyków, których chlebem codziennym jest praca kulturalna i oświatowa: sekretarzą WKZZ **Jolantę Sulej**, dyrektora Międzyzakładowego Domu Kultury przy ul. Przędzalnianej 68 (jednej z najstarszych placówek tego typu w Polsce) **Zdzisławę Czerwińską** i dyrektora Międzyzakładowego Domu Kultury przy ul. Siedleckiej 1 (również jednego z najstarszych w kraju) **Halinę Pabjanową.**

Sieć placówek k-o rozwinęła się w ostatnich latach dość znacznie, wciąż jednak jest niewystarczająca, a w każdym razie nierównomiernie rozmieszczona. Najwięcej placówek posiada Śródmieście, najmniej Widzew i Polesie. Są też i tzw. białe plamy: Dąbrowa, Teofilów, Stoki, Retkinia, czy osiedle Gagarina. Jednym słowem nowe dzielnice, oddalone dość znacznie od centrum miasta pozbawione również zawodowych placówek kulturalnych. Jak widzą tę sprawę związki zawodowe?

JOLANTA SULEJ: Na pewno istnieją poważne braki. Na przykład — otwarty w ubiegłym roku klub pracowników remontowo-montażowych przy ul. Skargi musiał wprowadzić karty wstępu, bo chętnych było znacznie więcej niż miejsca. Nasz 5-letni plan rozwoju sieci placówek kulturalnych na pewno poprawi sytuację, ale nie wprowadzi jakiejś radykalnej zmiany. Nastawiamy się na uruchamianie wyżej zorganizowanych placówek jak domy kultury, nie chcemy otwierać świetlic małych, prymitywnych. W wielkim mieście, takim jak Łódź szanse rozwoju mają tylko placówki przyciągające rozmachem, różnorodnością zajęć, atrakcyjnymi formami pracy. Realizacja takich zamierzeń natrafia jednak z jednej strony na trudności lokalowe — w gruncie rzeczy na palcach jednej ręki policzyć można domy działające dziś w odpowiednich warunkach lokalowych — z drugiej na organizacyjne. Mówię tu cały czas o międzyzakładowych domach kultury czyli placówkach finansowanych przez kilka terenowo blisko położonych zakładów pracy. Niestety sporo jest jeszcze fabryk które w sposób zaściankowy, partykularny dążą do zakładania własnych, małych i prymitywnych świetlic, a w utrzymywaniu domów międzyzakładowych nie chcą partycypować. Są i takie, które nie chcą żadnych placówek, pieniądze wolą zużytkować na wycieczki, grzybobranie itp.

To przeważnie zakłady młode, nie mające tradycji kulturalnych. Jestem przekonana, że załoga „Harnama" nie oddałaby swojego domu kultury i swoich zespołów za żadne inne atrakcje. Ale „Harnam" to już nie tylko kombinat przemysłowy, także kulturalny. Ich słynny zespół taneczny rozpoczął 21-szy rok życia.

Interesującym sprawdzianem był festiwal kulturalny. Podczas przeglądów i konkursów widziałam na sali dyrektorów fabryk, przewodniczących rad zakładowych i grupy robotników kibicujących swoim artystom-amatorom z iście sportowym entuzjazmem.

USŁUGI W KULTURZE

Zakłady patronujące są nie tylko dającymi, ale i biorącymi. Poza tym, że pierwszeństwo w korzystaniu z placówki mają ich załogi, dom kultury wykonywać musi wobec swych opiekunów „plan usługowy". Obowiązki te to organizowanie części artystycznych akademii i innych uroczystości, odczytów, spotkań, dyskusji itd. Zresztą sprawą zakładu jest żądać — domu kultury — wykonać.

HALINA PABJANOWA — Praktycznie rzecz biorąc jesteśmy organizatorami części artystycznych. Z imprezami typu oświatowego bardzo trudno wejść do zakładu. Odczyty i spotkania przyjmowane są niechętnie, poza studiami wychowania estetycznego i obywatelskiego dla uczniów szkół przyzakładowych.

ZDZISŁAWA CZERWIŃSKA: Ja z przyjemnością muszę powiedzieć, że współpraca z naszymi zakładami układa się coraz lepiej. W tym roku otrzymałam od zakładowej komisji kulturalno-oświatowej plan znacznie szerszy i poważniejszy niż w latach ubiegłych. Wzrosło zapotrzebowanie właśnie na imprezy oświatowe: spotkania z literatami, aktorami, odczyty o tematyce politycznej, technicznej z życia Związku Radzieckiego itd.

A więc potwierdza się teza, że potrzebna tu jest tradycja, nawyk w korzystaniu z dóbr kulturalnych. Kierownicy domów kultury mają pełną swobodę w doborze form pracy jakie uważają za najwłaściwsze, najstosowniejsze dla potrzeb środowiska, któremu służą. Właśnie, środowiska. Czy lokalizacja domu kultury w określonej dzielnicy, działalność w określonym środowisku warunkuje określone formy pracy? Moje rozmówczynie stwierdziły, że nie. Zatarły się różnice między gustami mieszkańców Bałut i Widzewa, Polesia i Górnej. Domy kultury mają te same problemy, te same kłopoty. Z tym, że każda placówka ma swoje własne tradycje. (Na Przędzalnianej na przykład dobrą tradycję mają kursy języków obcych, które „nie idą" zupełnie na Siedleckiej). A rzecz kierownictwa jest podtrzymując dawne zainteresowania, rozbudzać nowe. Mówiło się np. że na Przędzalnianej nie utrzyma się zespół teatralny czy recytatorski. Zdzisława Czerwińska, entuzjastka teatru objąwszy kierownictwo tej placówki stworzyła zespół żywego słowa, który nie tylko się utrzymał, ale i rozwija się pięknie.

Nie odkryję chyba tajemnicy jeśli powiem, że bywalcami domów kultury są głównie: młodzież i renciści. Ci ostatni coraz chętniej garną się do placówek kulturalnych. (W domu przy ul. Siedleckiej istnieje na przykład chór rencistów, składający się z około 100 osób). Brakuje natomiast „wieku średniego". Wiadomo, to zapracowane włókniarki matki i żony, to zapracowani włókniarze, którzy odpoczywają tylko w niedzielę. W niedziele można ich zainteresować rajdami pieszymi i motorowymi, łowieniem ryb. Takie imprezy też można połączyć z działalnością wychowawczą i oświatową, co zresztą się praktykuje.

Że zaś głównym bywalcem jest młodzież — to dobrze, bo przecież o nią głównie chodzi.

JOLANTA SULEJ: Warto tu wspomnieć o młodzieży szkół przyzakładowych. Bardzo zależy nam na tym, by młodzież tę powiązać z domami kultury. To przecież przyszli robotnicy, przyszłe załogi fabryk. Dobra współpraca z kierownikami szkół przyzakładowych sprawia, że uczniowie coraz częściej korzystają z wykładów cyklicznych studia wychowania społecznego, wychowania estetycznego, staramy się wciągać ich do kół zainteresowań. Wypływają tu też bardzo istotne zagadnienia ze sfery współżycia międzyludzkiego, kultury pracy. Jedną z form podejmowania tych zagadnień jest konkurs na kronikę brygady pracy socjalistycznej zorganizowany przez kol. Pabjanową. Konkurs ten przyniósł interesujące efekty w postaci kronik traktujących nie tylko o sprawach zawodowych ale i osobistych wydarzeniach z życia brygady, stanowiącej zżytą grupę zaprzyjaźnionych ludzi.

BY WILK BYŁ SYTY I OWCA CAŁA...

Wiadomo, że celem pracy domu kultury, jest pogłębienie form pracy oświatowej, położenie na ten kierunek głównego nacisku. Wiadomo, że celem ludzi, szczególnie młodych, przychodzących tam jest rozrywka. Jak godzić się te dwie, sprzeczne, dążności?

ZDZISŁAWA CZERWIŃSKA: Przy naszym domu działają aż trzy zespoły big-beatowe. To oczywiście za dużo, ale utrzymujemy je a nasi big-beatowcy robią wszystko, by pozostać. Uczą się nut, (w ubiegłym roku instruktor tych zespołów dawał trzy godziny tygodniowo teorii, przychodzili pilnie wszyscy), przychodzą na imprezy oświatowe, odczyty, chodzą do teatru, bo gotowi są nawet obciąć włosy jeśli tego zażądamy.

Każdy z naszych bywalców ma prawo wybrać sobie jakiś jeden szczególnie umiłowany kierunek, chodzi jednak o to, by pogłębiał wiedzę teoretyczną, by rozszerzał krąg zainteresowań, by się uczył. Wówczas uważamy, że spełniamy swe zadanie.

HALINA PABJANOWA: Jeśli na przykład uczestnicy zespołu tanecznego oglądając zawodowy zespół baletowy reagują podczas przedstawienia właściwie, jeśli oklaskują nie cyrkowe wyczyny, lecz prawdziwą sztukę, jeśli potem potrafią dokonać świadomego wyboru repertuaru, to dla mnie jest sprawdzianem, że nasza działalność jest słuszna i skuteczna.

ZDZISŁAWA CZERWIŃSKA: Często mówi się o profesjonalizowaniu zespołów amatorskich, o przeroście ambicji artystów-amatorów. My staramy się nie dopuszczać do tego. Jeśli odnajdujemy prawdziwe talenty, kierujemy je na drogę dalszego kształcenia. Krzywdę utalentowanym artystom-amatorom wyrządzają natomiast niektóre placówki zawodowe, przyjmujące ich do swych zespołów. Jeśli teatr zawodowy przyjmuje amatorów (niedawno do bry zawód rzuciło dwóch naszych chłopców z zespołu wokalnego, zatrudnił ich Teatr Muzyczny) to niechże przynajmniej pamięta o obowiązku, jaki bierze na siebie, dba o ich kształcenie i dalszą przyszłość.

HALINA PABJANOWA: A wracając do zainteresowań młodzieży, to wcale nie jest tak źle. Młodzież sama domaga się odczytów na niektóre tematy, na przykład z prawa rodzinnego czy wychowania seksualnego. Cykl o życiu seksualnym prowadzony przez wykładowcę-lekarza wykazał poważne, rzeczowe podejście młodzieży do spraw, o których nie mają z kim mówić. Zorganizowana u nas kiedyś zgaduj-zgadula na tematy wojskowe wykazała, że chłopcy, nawet ci długowłosi, których raczej podejrzewałabym o zainteresowania gitarą niż wojskiem, mają dużo wiadomości z zakresu wojskowości i to nie tylko współczesnej.

DROGA DO TEATRU

Jednym z zadań placówek kulturalno-oświatowych jest przygotowanie odbiorcy dla dzieł sztuki zawodowej: teatru, plastyki, muzyki. Zadanie to jest realizowane poprzez wycieczki na spektakle teatralne, spotkania z aktorami, dyskusje, koncerty itd. Czy to co się robi wystarcza, czy daje efekty?

HALINA PABJANOWA: Staramy się popularyzować muzykę poważną i tu pomaga nam bardzo wydatnie Filharmonia Łódzka poprzez stałe koncerty tematyczne połączone z prelekcjami. Czy daje to efekty? Na pewno jest to akcja długofalowa, wieloletnia, ale fakt, że frekwencja na tych koncertach jest coraz większa, jest optymistyczny.

W dziedzinie plastyki rosną nam w szkołach podstawowych nowe kadry dyletantów. Lekcje zwane dawniej rysunkami, a obecnie wychowaniem plastycznym są w większości prowadzone chyba przez amatorów i dlatego pewne kontakty młodzieży z zawodowymi plastykami na terenie naszego domu dają nieraz efekty szokujące. No a poza tym przeznaczamy rocznie kilkanaście tysięcy zł, na zakup dzieł plastycznych.

Uważamy, że upowszechnienie teatru jest naszym obowiązkiem. Niestety, teatry uważają, że wyłącznie naszym. Oczekujemy pomocy od teatrów i otrzymujemy ją, ale tylko wówczas gdy płacimy. Tymczasem chyba nie ma podstaw do tego, by zachłystywać się statystykami frekwencji w teatrach łódzkich. Chodzi przecież o świadomego widza. Przejęliśmy niemal funkcje kolporterów zakładowych, którzy powinni byli, ale nie informowali o sztukach, na które sprzedawali bilety. Nie zawsze jednak możemy o sztukach informować. Nie wszystkie teatry zapraszają nas na próby generalne. A my chcielibyśmy jeszcze, by zapraszano nas na dyskusje czy rozmowy informujące bliżej o przedstawieniu.

ZDZISŁAWA CZERWIŃSKA: Do wychowania teatralnego staram się włączyć i teatr telewizji, ale i tu trzeba by dodatkowych opracowań. Przedmowy telewizyjne są często dla naszego widza za trudne. Z telewizją w domu kultury stała się w ogóle ciekawa rzecz. O ile w pierwszym okresie musieliśmy dostosowywać program naszych zajęć do programu telewizyjnego, to obecnie nasze ciekawsze imprezy zawsze są w stanie odciągnąć młodzież od telewizora. Z wyjątkiem oczywiście międzynarodowych zawodów sportowych. Na te nie mamy żadnego sposobu.

* * *

Tym raczej optymistycznym akcentem kończymy rozważania o pracy domów kultury, choć można by je snuć w nieskończoność, tak jak nigdy nie skończona jest praca działaczy kulturalno-oświatowych. Z konieczności musieliśmy ograniczyć się do kilku tylko wybranych zagadnień.

spektakle tygodnia

	TEATRY	
TEATR WIELKI	„Rigoletto" 1 spektakl	1000 — 80%
	„Pan Twardowski" 1 spektakl	1100 — 90%
	„Straszny Dwór" 1 spektakl	966 — 75%
	„Kniaź Igor" 2 spektakle	2552 — 100%
	„Carmen" 1 spektakl	1150 — 92%
NOWY	„Świerszcz za kominem" 2 spektakle	700 — 50%
	„Sonata Belzebuba" 3 spektakle	1100 — 50%
Mała Sala	„Skiz" 3 spektakle	600 — 100%
	„Śluby panieńskie" 3 spektakle	550 — 90%
POWSZECHNY	„Tajemnica starej wierzby" 1 spektakl	422 — 65%
	„Noc spowiedzi" 2 spektakle	1288 — 96%
JARACZA w lokalu „ROZMAITOŚCI"	„Ogniem i mieczem" 3 spektakle	1788 — 94%
7.15	„W czepku urodzona" 2 spektakle	714 — 85%
OPERETKA	„Domek trzech dziewcząt" 6 spektakli	4418 — 66%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Ktoś nowy" 6 spektakli	1131 — 65%
	„Kamerdyner" 7 spektakli	1736 — 85%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	1500 — 100%

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Fifi Piórko, człowiek-ptak, przemiły złodziejaszek, to tytułowy bohater filmu Alberta Lamorisse'a, autora pełnych melancholii i liryzmu filmów „Biała Grzywa", „Czerwony balonik" i „Podróż balonem". W świecie fantazji sprawdzał Lamorisse swe marzenia, nadawał kształt pomysłom swej wyobraźni, uprzytamniał sobie i nam swe ukochanie przestrzeni jeszcze wolnej, jeszcze wymykającej się prawom jej organizacji przez człowieka. W swym nowym filmie „FIFI PIÓRKO" powrócił Lamorisse jeszcze raz do ukochanej przez siebie konwencji i ulubionych motywów, tym razem spróbował jednak zrobić komedię. Świat fantazji i świat rzeczywisty przylegają do siebie w tym filmie zupełnie, w końcu wszystko staje się baśnią. Z legendy i to starej, jak wiadomo, wziął Lamorisse postać człowieka-ptaka; z tym, że nie jest on u niego bohaterem tragicznym. Postacie świata rzeczywistego są w gruncie rzeczy już konwencjonalnymi bohaterami wszystkich możliwych baśni ekranu. W jakim świecie obraca się, a właściwie fruwa Fifi Piórko? Są tam cyrkowcy — zły i okrutny pogromca i urocza woltyżerka, są gangsterzy, zły ojciec, który chce rozdzielić kochającą się parę, dobroduszni staruszkowie, u których Fifi z żoną znajdą schronienie. Ten dobór bohaterów koresponduje z charakterem komizmu tak podobnego do wszelkich pomysłów i konwencji filmu niemego (ucieczki), gonitwy, bijatyki, sielankowy nastrój miłosnych przeżyć, świadomie naiwny rysunek psychologiczny). Lamorisse udziela nam pełnego azylu, jesteśmy w świecie baśni starych jak świat i starych jak kino, a że z baśni płynie morał, więc, oczywiście, jest i on. Broń człowieku swej wolności, nie pozwól, by źli ludzie i usłużny choć złowrogi świat techniki okazali się silniejsi od ciebie, pozwól sobie na odrobinę fantazji. Dlatego Fifi Piórko fruwa, jest szybszy i sprytniejszy od wozów policyjnych i strażackich, jest sprawniejszy od helikopterów. Pomaga mu w tym ukochanie życia i swobody oraz fantazja. A że Fifi to mało pozytywny bohater — złodziejaszek zegarków? Nie szkodzi, to przecież komedia, a w dodatku Philippe Avron ze skrzydłami na plecach i pociesznąbuzią, jest naprawdę sympatycznym i dobrym aktorem.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Czołówka filmu „WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO", może przyprawić o lekki zawrót głowy: V. De Sica, E. De Filippo, C. Zavattini, Sophia Loren, Marcello Mastroiani to zespół nazwisk, z którymi łączymy wiele objawień, myśli i wzruszeń. Później zawrót głowy mija szybko. Nic nam się nie objawia, myśleć dużo nie musimy, wzruszać tym bardziej. Ale możemy się śmiać, szkoda tylko, że z tym serdecznym śmiechem czekać musimy do ostatniej noweli. Zapewniam jednak, że poczekać na nią warto. Najpierw musimy przebrnąć przez perypetie Sophii Loren i Mastroianiego w dwu pierwszych nowelach. Pocieszyć się jednak możemy tym, iż Mastroiani męczy się niemniej niż my, i to nie tylko jako tata siedmiorga, a w przyszłości i więcej dzieci, gdyż taki los powierzył mu De Sica w pierwszej neapolitańskiej noweli. Męczy się Mastroiani również w pozornie bliskiej sobie roli intelektualisty z noweli mediolańskiej, dręczy się, bo nie ma co grać, na ekranie króluje Sophia. Niestety, nawet najpełniejsza demonstracja temperamentu Loren nie potrafiła uratować nudnej, bo rozwlekłej historii neapolitańskiej pary handlarzy. Jeśli coś w tej noweli może nas jednak wzruszyć, to na pewno miłość De Siki do miasta. To ukochanie Neapolu i jego mieszkańców widać w każdym nieomal kadrze filmu. Ani Sophii Loren, ani De Sice nie udał się drugi epizod, na szczęście rozegrany w dobrym tempie, z szybką, celną, choć, niestety, oczekiwaną pointą.

Chciano tu zaprezentować ostrą satyrę środowiska mediolańskich bogaczy i portret ich przedstawicielki. Jest i satyra, jest i portret, w sumie jednak dość to wszystko banalne.

I wreszcie nowela trzecia — Sophia Loren w roli czarującej rzymianki, w której mieszkaniu znajdują uroczy azyl wszyscy znudzeni, smutni lub poszukujący mocnych wrażeń panowie. Opowieść o dziewczynie, która ma dobre serce i lekkie obyczaje, powielona stokrotnie na wszystkich ekranach, tu nabiera nowych rumieńców. Jest bowiem mocno osadzona w realiach włoskiej obyczajowości. De Sica i aktorzy wygrywają tu wszystkie możliwe gamy komizmu, który opiera się nie tylko na przezabawnych sytuacjach lecz przede wszystkim na owym kalejdoskopie zmienności uczuć i nastrojów, z których słyną Włosi. Króciutka przypowieść o czystości i grzechu każe tęsknić za tym ostatnim, jest naprawdę kuszący i to nie tylko dlatego, że uosabiają go Sophia i Marcello. I jak tu nie kochać Włochów i ich życiowe recepty. Szkoda tylko, że dopiero w tej ostatniej noweli spotkali się wreszcie Loren i Mastroiani przy równych szansach aktorskich. Spotkanie skończyło się remisem, choć Sophia miała więcej do pokazania (nawet strip-tease). **EWA NURCZYŃSKA**

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

CORRIDAS

EL CORDOBES

■ Pisaliśmy niedawno o tym, że w filmie nakręconym na podstawie powieści Blasco Ibaneza pt. „Krew na arenie" wystąpi w głównej roli prawdziwy toreador El Cordobès. Ostatnio prasa podała, że zagra w innym jeszcze filmie (realizowanym przez Darryl Zanucka), a jego treścią będzie właśnie życie i sława jego samego, El Cordobèsa. Tym razem film będzie adaptacją książki pt. „...Où tu porteras mon deuil". (Gdzie będziesz nosiła po mnie żałobę). Autorzy książki, Dominique Lapierre i Lary Collins zamierzali początkowo napisać jedynie reportaż dla jednego z amerykańskich czasopism, ale zebrany materiał, okazał się tak obfity i interesujący, że rozrósł się w wielostronicową książkę o życiu El Cordobèsa. Kim jest ten najsłynniejszy toreador Hiszpanii? Jego właściwe nazwisko brzmi — Manuel Benitez. Urodził się w roku 1936 w małej wiosce andaluzyjskiej Palma del Rio jako piąte dziecko biednego robotnika sezonowego. W czasie wojny domowej ojciec Manuela, José Benitez wstępuje do armii republikańskiej. Po skończonej wojnie zostaje aresztowany przez faszystów gen. Franco i skazany na ciężkie roboty. W dwa lata potem umiera w szpitalu na gruźlicę. Nieco wcześniej umiera jego żona, matka Manuela, z wyczerpania głodowego. Najstarsza z pozostawionych dzieci jest trzynastoletnia Angelita i na jej barki spada teraz troska o wyżywienie rodzeństwa. Manuel w chwili śmierci rodziców ma lat 5. W kilka lat potem, gdy ma już 10 lat, Manuel jest po raz pierwszy w życiu w kinie w Jerez. Bohaterem filmu jest biedny chłopiec, który zostaje toreadorem i staje się sławny i bogaty. Manuel postanawia, że pójdzie w jego ślady. Odtąd przyszły sławny matador, co noc przy świetle księżyca, zabrawszy z domu kawałek starej kołdry i uzbroiwszy się w zardzewiały bagnet, zakrada się na pastwisko bogacza Feliksa Moreno i drażni byki. Policja i dozorcy chwytają go, biją przez tydzień, ale chłopiec nie odstępuje od raz powziętego zamiaru choć jest głodny, czasem pokaleczony przez byki i obdarty. Wreszcie policja wyrzuca Manuela z rodzinnej wsi zapowiadając mu, żeby się nie ważył kiedykolwiek tu wrócić.

Manuel odbywa teraz zaimprowizowane corridy we wsiach i miasteczkach. Po jakimś czasie spotyka człowieka, który organizuje mu prawdziwą corridę. W latach 1960—64 Manuel Benitez, występujący na arenie jako El Cordobès robi błyskotliwą karierę. Staje się najsłynniejszym matadorem Hiszpanii, najpopularniejszym w tym kraju człowiekiem. Odbył do dnia dzisiejszego 1.000 walk na arenie.

ISADORA DUNCAN NA EKRANIE

■ W Londynie przygotowuje się film o życiu Isadory Duncan. Jak pamiętamy, Duncan była światowej sławy amerykańską tancerką. Jakiś czas przebywała w Związku Radzieckim, gdzie zorganizowała i prowadziła szkołę baletową. Była żoną poety radzieckiego Sergiusza Jesienina, ale małżeństwo to nie trwało długo.

W roli Isadory Duncan wystąpi Vanessa Redgrave. Dziennik „Le Figaro" zamieszcza krótki wywiad z aktorką, która mówi, że sama chciała zostać tancerką. Od siódmego do czternastego roku życia ćwiczyła balet klasyczny. „Ale miałam zbyt długie nogi — mówi — aby zostać młodą baletnicą". Mówi dalej, że rola jaką jej powierzono jest niesłychanie trudna. Czasem ma wrażenie, że jej nie podoła, ale kiedy tańczy, wydaje jej się, że istotnie wciela się w postać Isadory. Czy film wiernie odtworzy historię życia amerykańskiej tancerki? Według mniemania Redgrave, wiernie.

WYSTAWA NOWOCZESNEJ SZTUKI CZECHOSŁOWACKIEJ

■ W Londynie została otwarta wystawa nowoczesnej sztuki czechosłowackiej. Wystawę zorganizowano w ramach współpracy z muzeum w Pradze.

POMNIK SIBELIUSA W HELSINKACH

■ Dwadzieścia cztery tony waży ośmiometrowej wysokości pomnik ze stali, chromu i nikiu wystawiony dla uczczenia pamięci fińskiego kompozytora Jeana Sibeliusa (1865—1957). Pomnik wzniesiono w jednym z parków w Helsinkach, gdzie niedawno odbyło się jego odsłonięcie. Autorem pomnika jest rzeźbiarka Eila Hiltonen, która cztery lata pracowała nad realizacją swego pomysłu.

MAŁŻEŃSTWO HENRY MILLERA

■ Znany pisarz amerykański (i malarz) Henry Miller ożenił się w wieku 75 lat z 28-letnią piosenkarką japońską Hoki Tokuda. Małżeńska para udała się w swą podróż poślubną do Paryża, skąd małżonkowie pojadą do Szwecji, by wrócić następnie do Kalifornii, gdzie na wybrzeżu oceanu znajduje się prywatna rezydencja pisarza. Gdy w Paryżu dziennikarze spytali Millera, czy mają go witać jako pisarza czy malarza odpowiedział, że przybył tu m. in. na swoją pierwszą międzynarodową wystawę malarstwa (gwasze, akwarele, akwaforty).

Henry Miller z żoną

Henry i Hoki Miller

Henry Miller urodził się w Nowym Jorku, w rodzinie krawca. Uprawiał różne i liczne zawody. Prowadził dość nieustabilizowany tryb życia. Przez długi czas mieszkał w Paryżu. Do Stanów Zjednoczonych wrócił po drugiej wojnie światowej. W jego pisarstwie widoczne są wpływy Dostojewskiego, Nietzschego oraz francuskiego surrealizmu. Miller pisze dalekie od konwencjonalizmu, częściowo groteskowo - humorystyczne opowieści. Zdarza też wyraźną skłonność do tematyki na wpół mistyczno-erotycznej i psychopatologicznej. Najbardziej znanymi z jego utworów są: „Tropic of Cancer" (Zwrotnik Raka) i „Tropic of Capricorn" (Zwrotnik Koziorożca).

Wszystkie jego książki zawierają elementy autobiograficzne. Miller wywarł znaczny wpływ na młodych, niekonformistycznych pisarzy północnoamerykańskich.

„SAINT-EXUPERY"

■ 4 listopada w paryskim Petit Odéon odbędzie się premiera spektaklu „Saint-Exupéry". Widowisko zrealizował Jean-Louis Barrault na podstawie dzieła Saint-Exupéry'ego pt. „Nocny lot".

OBCHÓD OSIEMDZIESIĘCIOLECIA URODZIN ARNOLDA ZWEIGA

■ Z okazji 80-tej rocznicy urodzin Arnolda Zweiga przypadającej w dniu 9 listopada odbędzie się specjalna wystawa w Berlińskiej Bibliotece poświęcona życiu i twórczości wielkiego powieściopisarza.

Również radio i telewizja NRD uczczą osiemdziesięciolecie Arnolda Zweiga.

BEZ STRACHU

WARIACI I GRENADIERZY

Opowiem Wam dwuobrazkowy dowcip o Napoleonie. Posłuchajcie: Na pierwszym obrazku psychiatra o pobłażliwym uśmiechu patrzy na stojącego przed nim Napoleona. Na drugim obrazku postać psychiatry wyraża dzikie przerażenie, bowiem w ślad za Napoleonem przez otwarte drzwi gabinetu wkroczył oddział rosłych grenadierów o twarzach wyrażających tępotę i gotowość spełnienia rozkazów wariata.

Jest to dowcip genialny, streszczający istotę niebezpieczeństwa, jakie stanowią wariaci. Wariaci bowiem nie działają w pojedynkę, miewają uczniów i naśladowców; wariaci zakładają szkółki.

Cóż z tego, że jakiś obywatel nazwie się Juliuszem Cezarem — nie jest groźny dopóty, dopóki nie zbierze legionów. Znam faceta, który niekiedy zaznacza, że jest właściwie czajnikiem i nawet parska, sugerując kipienie. Niestety, jednak, brak mu chwilowo szklanek. Nie ma jeszcze szklanek, ale już niektórzy oburzali się na mnie kiedy mówiłem, że to człowiek chory. „Z tym czajnikiem, to przecież on jeszcze całkowicie nie jest przekonany, zresztą nikogo nie zmusza, zresztą naprawdę jest bardzo gorący i coś w nim, uważacie, chwilami jakby bulgotało".

Są to potencjalni kandydaci na szklanki, kandydaci na legionistów, kandydaci na grenadierów. Kim byłby Hitler, gdyby nie fakt, że znalazł w Niemczech miliony tępych grenadierów? Leczyłby zapewne w jakimś zakładzie powikłania kiłowe centralnego układu nerwowego. To grenadierzy uczynili go wodzem i umożliwili dokonywanie obłąkańczych zbrodni.

Oczywiście, że poczciwy czajnik nie jest zbrodniarzem, zresztą w konkretnej łódzkiej sytuacji jego szanse są raczej mizerne. Ale przecież, kto wie... jeżeli znajdzie szklanki, może zechce wypełnić je wrzątkiem, i cóż z tego, że niejedna szklanka pęknie, że ktoś poparzy palce — to się zdarza nawet najpoczciwszym imbrykom.

Podobne sprawy zdarzają się Cezarom i Napoleonom jeżeli znajdują grenadierów — tępych i bezmyślnych ludzi, którym przez uporczywe powtarzanie można wmówić największe brednie, których można skłonić do nikczemnych czynów, przedstawiając im je jako osobliwe cnoty.

Strzeżmy się wariatów, strzeżmy się grenadierów, ale przede wszystkim strzeżmy się połączeń wariatów z grenadierami — bowiem grenadierzy tęsknią za szaleńcami, podobnie jak szaleńcy za grenadierami.

Nigdy myślący człowiek nie powinien zostać grenadierem. Człowiek jest człowiekiem, a nie czajnikiem, Kowalski jest Kowalskim, a nie cesarzem Francuzów. Wypisujmy się z wariackich szkółek, a tamtejszych profesorów kierujmy na solidne kuracje w lecznictwie zamkniętym.

BERNARD SZTAJNERT

IGNACY G. ROMANOWSKI

Przyślij mi „suwenir" z Łodzi...

Tak kilka lat temu napisał mój radziecki przyjaciel, zapalony kolekcjoner różnego rodzaju pamiątek z całego świata. „Coś niedużego i niedrogiego, sam wiesz najlepiej o co mi chodzi" — wyjaśnił, gwoli uniknięcia nieporozumień.

O co chodziło mojemu kolekcjonerowi, domyśliłem się bez trudu. Strach padł jednak na mnie, kiedy usiłowałem uczynić zadość jego prośbie. Poza kilkoma pocztówkami, które w tym przypadku nie wchodziły w rachubę, nie znalazłem n i c z e g o, co mogłoby uchodzić za ów „suwenir" łódzki. Nikt nie pomyślał o tym aby taką niedużą i niedrogą pamiątkę stworzyć. Zamiast więc spodziewanego „suweniru" wysłałem album „Łódź — jaką znam", błogosławiąc jego autorów i wydawnictwo, że pomyślało przynajmniej o tym. Były, co prawda jeszcze w kioskach „Ruchu" blaszane herbiki na szpilce, ale przed wysłaniem takiej pamiątki powstrzymała mnie obawa przed zerwaniem przyjacielskich stosunków. Aby ratować dobre imię pamiątkarstwa polskiego, wysłałem oczywiście jakieś drobiazgi warszawskie czy zakopiańskie. Ale dobrego imienia łódzkiej pamiątki niestety nie uratowałem, nie sposób bowiem ratować czegoś, co nie istnieje.

Przez kilka następnych lat przemysł pamiątkarski w Polsce zrobił niemały postęp, opierając się przede wszystkim na ludowszczyźnie, zauważając jednocześnie i inne szerokie możliwości rozwoju w tej dziedzinie. Ale równocześnie, ocena obecnego stanu pamiątkarstwa o tematyce łódzkiej, dokonywana z całym dobrodziejstwem inwentarza — wypada nad wyraz blado. Nie dorobiliśmy się — poza kilkoma efemerycznymi wyjątkami — żadnych postępów na tym polu.

Myślę tu oczywiście o pamiątce jako o szczególnym przedmiocie mającym raczej nie użytkową ale estetyczną wartość i łączą cym się symbolem, znakiem, tematem z konkretną miejscowością lub regionem. Inne cechy, jak niezbyt duże rozmiary, praktyczny i wpadający „w oko" kształt, kolor i wreszcie przystępna cena decydują o atrakcyjności pamiątki i jej powodzeniu.

Hasło „pamiątka łódzka" jest nadal właściwie białą plamą. Najlepiej jeszcze prezentuje się tu pocztówka o tematyce łódzkiej. Ale i na tym polu można — a właściwie trzeba — zrobić jeszcze bardzo dużo. Wykonanie techniczne — a dotyczy to nie tylko łódzkiej pocztówki — jest, mówiąc oględnie, bardzo mierne. Zwłaszcza barwne reprodukcje miejskiego pejzażu z niedbale nadrukowanymi kolorami, zatracają swoją funkcję i zamiast zachęcać do obejrzenia w naturze sfotografowanego fragmentu miasta — przynoszą skutek odwrotny. W ten sposób każdy obiekt wygląda prawie tak samo — różowo-zielono-niebiesko. Często zła jest po prostu sama fotografia, banalna, szablonowa, nic nie przedstawiająca. Przy czym autorzy pocztówek nie mogą pojąć, że Łódź to nie tylko pałac na Ogrodowej, pomnik Kościuszki i kilka jeszcze innych ulubionych przez nich tematów. Można nawet i to wybaczyć, gdyby szło to jeszcze w parze z jakąś pomysłowością. Ale niestety. Wszystkie ujęcia są niemal identyczne, każdy obiekt architektury przedstawiony w planie ogólnym, Piotrkowska zazwyczaj w okolicy Narutowicza, pałac Poznańskiego zawsze z narożnika. A Łódź posiada przecież całą masę innych ciekawych obiektów godnych pocztówki. Dlaczego brak jest na pocztówkach kilku nastu jeszcze innych łódzkich pałacyków czy ciekawych fasad stylowych kamienic i tych najlepszych przykładów nowej architektury? Dlaczego nie widzi się łódzkich wnętrz — chociażby wspomnianych pałacyków, Biblioteki Uniwersyteckiej, Teatru Wielkiego czy innych zupełnie nieznanych, jak np. pięknego secesyjnego witrażu z domu przy ul. Tuwima 17?

Ostatnio pokazały się w handlu kolorowe widoków ki łódzkie, stojące na dobrym poziomie technicznym. Niestety poziom ceny jest przynajmniej równie wysoki i daleko odbiega od zakorzenionych dwu złotowych przyzwyczajeń. Za 9 zł można było w swoim czasie nabyć trzy niemieckie pocztówki z arcydziełami malarstwa światowego stojące pod względem technicznym na pewno nie niżej od ostatnich osiągnięć łódzkiego pocztówkarstwa! Nie tędy więc wiedzie droga do pamiątki masowej.

Na pocztówkę łódzką można jeszcze wyrzekać dużo, ale jakby nie było, to właściwie tylko ona reprezentuje łódzkie pamiątkarstwo. Pamiątki o tematyce łódzkiej oferowane przez łódzką Cepelię są zbyt nieliczne aby je brać na serio pod uwagę. Są to bowiem — wymienia się je jednym tchem — istotnie udane metaloplastyczne talerze, ceramiczne plakietki i jakieś efemeryczne moc no wyroby galanteryjne ze skóry. Przy niewielkiej produkcji wyroby te są niemal niewidoczne w sklepach łódzkiej Cepelii. Co prawda zza szyby nowo otwartego zakładu „Metaloplastyki" w podcieniach na rogu Narutowicza i Piotrkowskiej przyciąga wzrok kilka takich talerzy ale tuż obok umieszczona dyskretnie tabliczka informuje, że nie chodzi tu bynajmniej o sprzedaż a jedynie o zdrową reklamę.

Na domiar wszystkiego przy ubóstwie asortymentu istnieje jeszcze zastanawiające ubóstwo pomysłów i motywów. Jakby na pamiątce liczył się jedyny motyw — herb i tylko herb. Jest to wprawdzie choroba ogólnopolska ale dlaczego za stereotypem syrenki ma iść stereotyp łódki? Tyle, wydaje się, dostrzegli tylko w doświadczeniach warszawskiego pamiątkarstwa specjaliści od łódzkiego „suweniru". Jakby nie było wielu innych niemniej łódzkich motywów jak chociażby czołenko tkackie, krajobraz kominów, żeby wspomnieć te najbardziej oklepane. A można przecież eksponować ciekawe fragmenty łódzkiej architektury na płytkach ceramicznych lub miniaturki pomników (mamy ich jednak kilka). Jest jeszcze w Łodzi przemysł filmowy, który mógłby być kopalnią tematów dla typowych łódzkich pamiątek. Zresztą od czego są plastycy i ich zawodowa pomysłowość. Najprostsze i najlepiej trafiające do odbiorcy wzory pamiątek można wyłonić w drodze konkursu. Można... Ale kto to ma robić? Sama Cepelia zadaniu temu na szerszą skalę nie sprosta, nie jest zresztą na produkcję tego typu pamiątek nastawiona, chociaż należałoby się zastanowić czy lepiej jest wyrabiać i sprzedawać drobne przedmioty pamiątkarskie, czy też drogie, brzydkie i stojące śmietnie po sklepach meble.

Podobnie jak w Warszawie, Krakowie czy miejscowościach uzdrowiskowych, łódzkim pamiątkarstwem powinno się zająć rzemiosło. Wbrew obawom natury ekonomicznej — jest to zajęcie bardziej rentowne niż wiele szacownych rzemieślniczych zawodów. Wiedzą o tym dobrze nie tylko Bułgarzy czy Czesi ale i nasi rodacy w Zakopanem czy na Wybrzeżu.

Istnieje jeszcze inna niewykorzystana i oryginalna szansa dla łódzkiego pamiątkarstwa. Myślę tu o pamiątce związanej z włókniarskim charakterem naszego miasta. Serwetki, chustki, makatki z tkanymi lub drukowanymi motywami Łodzi miałyby wszystkie cechy, którym powinna odpowiadać typowa pamiątka. Taką produkcją mógłby się dodatkowo zająć przemysł, nie wymagałaby bowiem pracy ręcznej, i stąd chyba walor praktyczny tego pomysłu. Bardziej to odpowiada wyczuciu miejsca i sytuacji niż sprzedawanie w sklepie „Polskiego Lnu" ręczników z kapitanem Cookiem!

Ktoś odpowiedzialny za sprawy pamiątkarstwa powiedział: — „Nie ma łódzkiej pamiątki bo nie ma na nią zapotrzebowania. Kto chce przywozić z Łodzi pamiątki?" Wydaje się, że jest to sceptycyzm nazbyt a priori. No, bo kto usiłował przynajmniej sprawdzić czy istnieje takie zapotrzebowanie? Wystarczy poobserwować te wędrówki zmotoryzowanych i niezmotoryzowanych turystów i nie tylko turystów po sklepach łódzkiej Cepelii. Wędrówki, po których znikają z półek lalki, maskotki, wazoniki, koguty, koszyczki — choć również dobrze mogłyby znikać łódzkie pamiątki gdyby oczywiście istniały. Twierdzę więc, że zapotrzebowanie na łódzkie „suweniry" istnieje, trzeba je jedynie zaoferować, pokazać, udostępnić potencjalnemu nabywcy. A taki nabywca z pewnością się znajdzie sam. I to nie tylko spośród cudzoziemców. Na pewno wielu łodzian z przyjemnością kupiłoby do mieszkania jakiś ozdobny typowo łódzki drobiazg. Pamiątkę warto adresować również dla najbliższego odbiorcy. Nawet warszawiacy kupują dla siebie te różne syrenkowe kombinacje pamiątkarskie.

I jeszcze jedna wiążąca się z tym problemem sprawa. Na wzór innych miast, które zagadnienia te zauważyły znacznie wcześniej, zapewnić trzeba odpowiedni system sprzedaży. Uruchomienie na sezon letni kilku kiosków zajmujących się sprzedażą pamiątek na najbardziej uczęszczanych ulicach, na pewno przydałoby się miastu. Że nie prowadzi się tego typu sprzedaży na łódzkich dworcach, jest już dużym niedopatrzeniem, że brak takiego stoiska w foyer Teatru Wielkiego — jest jeszcze jednym przykładem jak można nie wykorzystywać pchające się w ręce szanse.

JERZY URBANKIEWICZ

DZWONY z St. Mary le Bow

Co roku, kiedy przygrzeje lipcowe słońce, grupy dziennikarzy stroją się i zbroją w piórka, będące symbolem ich zawodu i rozlatują w pięć stron świata, na studia językowe: Londyn, Moskwa, Paryż, Perugia i Weimar. W jednej z redakcji stołecznych zapytano dziennikarza: „A po co panu znajomość języka obcego?" Dał obszerne wyjaśnienie na piśmie. Ale nie przekonał nikogo i tego lata prowadził konwersacje w języku polskim w Mikołajkach. Ponieważ w Łodzi rozumieją po co dziennikarzowi znajomość języka obcego, czytelnik łódzki mógł otrzymać poniższą relacje ze stolicy Wielkiej Brytanii.

Niełatwo dziś pisać o Londynie, dlatego, że wielkie to miasto zostało spenetrowane wzdłuż i wszerz i opisane w Polsce tak niemal dokładnie jak Warszawa. Wynika to z faktu, że podróżujący Polacy, zachłanni na ciekawostki i sensacje, trzymają po kieszeniach długopisy i do nich zapasy na zapas i notują wszystko, co nie takie jak u nas. Jeżeli jednakże łatwo dają się dostrzec osobliwości architektury miasta, urządzeń komunalnych, jaskrawość stroju gwardii królewskiej, czy rozległość i punktualność jazdy kolejki podziemnej, to trudniej wniknąć w sprawy nawyków i upodobań ludzkich, a te są chyba bardziej ciekawe niż osobliwości opisane w bedekerach w porządku alfabetycznym lub w kolejności zwiedzania.

Oto samolot daje nura w szaro-brązowa mgiełkę nad Londynem, stewardessa prosi by nie palić i zapiąć pasy bezpieczeństwa, potem lekki wstrząs, gdy koła zetkną się z betonem lotniska i oto przedsionek Londynu. Ladujący rodak przeżywa nierzadko emocje związane z rychłym przejściem przez kontrole celna jeżeli zaś idzie o grupę dziennikarzy, in spe poliglotów, których podróż opisuję, to w ich przeżyciach pojawia się emocja dodatkowa: oczekiwanie konfrontacji własnej znajomości języka angielskiego z tym, którego tu używają. A konfrontacja ta wypada często źle, jeśli przybysz natknie się na tubylca mówiącego narzeczem lub na tzw. Cockney'a.

Słowo „Cockney" wyszło dawno poza granice krajów, w których się mówi po angielsku, ale mało kto wie co ono oznacza. Otóż dawniej, kiedy Londyn nie był jeszcze miastem tak wielkim, jak dziś, mówiło się, że kto przyszedł na świat w zasięgu dzwonów z kościoła St. Mary le Bow, ten był Cockney'em. Anglicy próbowali wyjaśnić znaczenie samej nazwy. Ustalili, że zrodziła się ona w średniowieczu ze słowa „cocken-cy", lub „cock's egg", co oznacza „kogucie jajko" — pogardliwa nazwa małego niewydarzonego jajka. Ale nazwa ta niczego nie tłumaczy, ponieważ Cockney'e nie są niewydarzeni ani godni pogardy, przeciwnie, są to ludzie sympatyczni, a prości, pełni humoru i dobroduszni chociaż mówią nieliterackim językiem, zaskakującym przybyszów. Ciśnie się pod pióro porównanie do powiślan kich rodowitych warszawiaków. Ale w rzeczywistości może ono dotyczyć tylko niektórych cech charakterystycznych. Jedni, podobnie jak drudzy używają specyficznego języka, z tym, że różnica pomiędzy językiem Powiśla a polskim językiem literackim jest o wiele mniejsza niż różnica pomiędzy mowa Cockney'ów a poprawna angielszczyzna. Cockney'e trzymają się w grupach zwartych, nawet w jakimś organizacyjnym sensie, gdyż w poszczególnych okręgach wybierają swoich królów i królowe. Cockney'e mają własny strój, niepodobny do żadnego z noszonych gdzie kolwiek w świecie. Noszą mianowicie ciemne ubrania od góry do dołu pokryte białymi guzikami z masy perłowej, ułożonymi w bogate wzory, a panie wkładają ponadto wielkie kapelusze ozdobione strusimi piórami.

Cockney'e są — jak powiedziano wyżej — dobroduszni, uczynni i weseli. Ich dobroduszność i uczynność widać choćby w tym, że chętnie biorą udział we wszystkich akcjach charytatywnych a występują wtedy w owych ubraniach ozdobionych guzikami. Jako przykład ich nieco rubasznego humoru przytaczają opowiadanie następującej treści. „Palił się dom. A w oknie na piętrze stała starszawa jejmość i machała ręką. Więc myśmy zaczęli do niej wołać: „Skacz, pani szanowna, skacz. My będziem trzymać prześcieradło!" Skoczyła i złamała nogę. Aleśmy się uśmiali. Bo nie mieliśmy żadnego prześcieradła". Oczywiście, w dowcipie tym nie można przeoczyć faktu, że złamana noga była jednak ceną życia.

Słyną Cockney'e swoimi oryginalnymi pieśniami. Może słuszniej byłoby powiedzieć: słynęli póki istniały w Londynie Music Halle, przez estrady których szły te pieśni na całą metropolię. Dziś śpiewane są zapewne w zasięgu dzwonów St. Mary le Bow, a szerzej znana jest piosenka „Knock'd'em in the Old Kent Road" a która, gdyby była przetłumaczalna na język polski, brzmiałaby mniej więcej tak:

Po naszej ulicy wytworny
szedł facet w południe,
Miał wdzianko szykowne, lecz
kaszlał paskudnie.
Gdy ujrzał mą starą, zdjął
dęciak w ten sposób,
Jak się to praktykuje u wytwornych osób.
„Szanowna madamé — powiada ten stary — przepraszam
Ale ich szczerość równa jest zeru,
Bo nam zazdroszczą po Rotten Row spaceru.
Jak pragnę zdrowia — gały wywalili,
A sublokator zemdlał w jednej chwili,
Gdy moja stara nagle jak nie palnie:
„Nie jeżdżę od dziś autobusem, bo to jest wulgarnie..."

Dla jasności wypada dodać, że Rotten Row to nazwa alei w Hyde Parku, po której jeżdżą powozami czy konno najbogatsi ludzie Londynu.

W ten sposób Cockney'e mają — jak widać — te same zalety z wyjątkiem jednej jedynej wady: mówią językiem niezrozumiałym dla przybyszów zza morza.

A ci przybywają masowo.

W londyńskim City, a więc kiedyś — w zasięgu dzwonów St. Mary le Bow — istnieje stara uczelnia nosząca nazwę City of London College. Właściwie — dowodem jej starości jest tylko tablica pamiątkowa wmurowana w ścianę obecnego budynku na ulicy Moorgate, gdyż oryginalny gmach legł w gruzach od niemieckiej bomby. A koledż ten, organizując letnie szkoły języka angielskiego gromadzi co roku, latem około pół tysiąca słuchaczy kilkunastu narodowości, którzy słuchają codziennie wykładów, piją wspólnie herbatę z mlekiem zwiedzają zabytki, tańczą na tzw. „wieczorkach społecznych". Myślę, że podobnie sprawy tę przebiegają w Moskwie, Weimarze, Perugii i Paryżu i — chyba British Council oraz podobne organizacje w Związku Radzieckim, Francji, NRD i Włoszech organizując te kursy, robią bardzo dużo dla zbliżenia ludzi różnych narodowości. Wracając z tych kursów zabiera się pamięć o miłych Anglikach Polakach, Niemcach, Francuzach, Murzynach słowem — ludziach bez negatywnego podtekstu. A o przyjaźń między narodami — jak uczy doświadczenie — najłatwiej wtedy gdy ma się 20 lat. Toteż nierzadko się widzi, jak przedstawiciel jednego narodu chwyta za szyje przedstawicielkę innego i idą razem w Anglie, a żadną miarą nie można ich posądzić o wrogie dla siebie uczucia.

Letnią szkołę o podobnym charakterze organizuje też BBC przy czym jej atrakcją jest zwykle wizyta uroczej pary, Waltera i Connie znanych z telewizyjnych i radiowych lekcji.

Wyjeżdżają też ludzie indywidualnie, na zaproszenie krewnych. Czasami po to, by opanować język, czasami by „zaliczyć" Londyn i wrócić z ciuchami.

Mam z Camberwell wieści od wuja Tomasza:
Wyciągnął kopyta! Lecz głup stwo to wszystko,
Bo dał on wam w spadku wózek i oślisko."
Więc „hurra!" sąsiedzi krzyczeli,
„Kto do ciebie przybył Bill?
„Czyżbyś ulicę kupił, Bill?
Ze śmiechu mało diabli mnie nie wzięli.
Zadziwiłem wszystkich na Old Kent Road!
Niektórzy pyskują, że osioł z ochwatem
I narowisty pazatem.

Wśród wszystkich, zwłaszcza młodych przybyszów bez względu na narodowość można wyodrębnić — z grubsza rzecz biorąc — dwie kategorie ludzi w zależności od ilości posiadanych środków płatniczych. Była więc Włoszka, która buntowała się przeciwko pobytowi w Londynie, gdyż tatuś kazał jej siedzieć do nowego roku, ale nie zgodził się by zabrała ze sobą samochód. „Gdybym miała tu samochód, to bym siedziała do nowego roku, a tak — to nie będę!..." Grupa druga — to tacy, którzy muszą oszczędzać i czasem idą dwie stacje kolei podziemnej pieszo, bo to im daje 4 pensy oszczędności. Ci uważają że jeżeli chcą opanować język, muszą spędzić rok w Londynie, szukają więc sobie pracy. Może to być „baby-sitter" — czyli doglądanie dziecka, może być pomoc domowa, a może też być praca w hotelu. Przyjmując podobne prace, można trafić dobrze, a czasami trafia się zupełnie źle. Warunki zależą od umowy, choć — jak to zwykle bywa — ten kto daje pracę, narzuca swoje warunki poszukującemu. Dla przykładu pracę w hotelu można uzyskać od „New Era Agency", płacąc tej agencji 12 funtów za fatygę. Hotel daje mieszkanie, utrzymanie i 40 funtów miesięcznie. Nie jest to mało. Ponieważ jednak wykonuje się w takim hotelu pracę fizyczną, prostą, ten sposób spędzania czasu w Londynie wybierają chyba jednostki najbardziej wartościowe, co — zdaje się — nie zawsze jest zrozumiałe dla naszych urzędów. Znam wypadek, że dziewczyna zdolna, pracowita (wniosek, wyciągnięty ze świadectwa maturalnego i ze stopni po pierwszym roku studiów) nie wyjechała na taką pracę, gdyż Urząd w Polsce odpowiedział dumnie: „My naszej młodzieży nie posyłamy do Anglii na roboty. Na zaproszenie krewnych — proszę bardzo." I — kłody pod nogi.

Na szczęście na ogół rozumie się, że takie przyszły czasy, że ludzie różnych narodowości wolą wspólnie chodzić do Hyde Parku, lub wjeżdżać na Kasprowy, niż do siebie strzelać. Aby to osiągnąć muszą się poznać i wzajemnie zrozumieć. We wspomnianym wyżej City of London College wisi plakacik z dziewczyną w futrze i kozaczkach i z napisem: „Przyjmujemy zapisy na kurs języka rosyjskiego." Wykładowca literatury angielskiej w tymże koledżu, p. Lander zaczął się uczyć polskiego i wybiera się do Polski na urlop. Młody Francuz z sąsiedniej ławki oprócz angielskiego zna biegle niemiecki. Starszy Duńczyk doprowadza do perfekcji angielski, ale znakomicie hiszpański: ilekroć słyszy rozmawiających po polsku Polaków przeprasza i wsłuchuje się w brzmienie egzotycznej dla niego mowy. Norwegowie mają z nami wspólne hasło: „Narvik", więc jest od czego zacząć rozmowę.

A na „wieczorki społeczne" przychodza też do koledżu Anglicy. Bowiem Anglicy twierdzą że jeżeli się dobrze po Londynie rozejrzeć, to oprócz obcokrajowców można tam też spotkać Anglików.

Lewym okiem

PRZYCISZYĆ O DZIESIĄTEJ

W każdym domu jada się na śniadanie przeważnie wczorajsze pieczywo — bardzo zdrowo! — wczorajsze masło, wędliny, ser. W żadnym domu nie lubi się na śniadanie wczorajszych gości.

Nie ma już takich uprzykrzonych, z trudem i nie wiadomo w imię czego tolerowanych, przychodzących zawsze nie w porę krewnych i przyjaciół, jacy przez dziesiątki lat byli przedmiotem tysięcy anegdot w pismach humorystycznych i kalendarzach ściennych „do zrywania". Czasem jeszcze mili goście zasiedzą się trochę za długo, aż do okresu generalnego ziewania, a kiedy wreszcie wstaną i uprzejmy gospodarz z westchnieniem zapyta: „kiedy się znowu w takim gronie spotkamy przy biesiadnym stole?" — odpowiadają chórem: najlepiej zaraz!

Mimo wszystko jednak od czasu do czasu są jakieś imieniny, rocznica, ślub, święta. Wtedy zaczyna się lawina kłopotów. Goście nie są winni. Gości musimy długo prosić, żeby przyszli, są nam naprawdę mili, mile widziani. Ale to tylko przez nas. A już o dziesiątej puka w sufit sąsiad z góry, że nie może spać. Ten sam sąsiad, który przed tygodniem śpiewał z kimś drugim piosenki żołnierskie, fałszując niemożliwie i przytupując po ułańsku. W godzinę później sąsiadka z dołu przychodzi z płaczem, że musi wstać rano do pracy. My też musimy, Nasi goście też. I wcale nie myśleliśmy, że w ogóle u nas jest głośniej niż kiedykolwiek, i że już jedenasta godzina.

Rozstawalibyśmy się wcześniej, gdyby się zaczęło zgodnie z planem. Ale to się nigdy nie udaje. Nawet Kamyczek pisał kilkakrotnie, że nie należy przychodzić bardzo punktualnie na podaną w zaproszeniu godzinę, bo na pewno zastaniemy panią domu w papilotach. Przyjaciele zaproszeni na siódmą ściągają na dziewiątą. W godzinę później, kiedy wyciągamy już ostatniego kornisza z biblioteki, przychodzi jeszcze jedna para, na którą już przestaliśmy liczyć. Są szczęśliwi, że taką nam sprawili przyjemność, nie obrażają się, gdy im zgarniamy na talerzyki resztki pomidorów, ostatek majonezu, liść pietruszki ocalały z przybrania karpia i rzodkiewkę, umoczoną w kompocie; mają apetyt, humor, i mnóstwo energii do zaczęcia na nowo, albo odwrotnie — są już po dwóch innych Mariach czy Karolach i właściwie powinni iść spać.

Co robić? Żyć tak, jak to małżeństwo z pierwszego piętra, które ma już samochód, ma psa, ale nigdy nikt nie widział tam i nie słyszał żywej duszy poza nimi samymi (i psem), nikt z nimi nie rozmawia, nie wymienia ukłonów, uśmiechów, grzeczności?

Żyć tak, jak jeszcze inny sąsiad, którego często przywozi taksówką zalanego w drobny mak, wyżytego towarzysko poza domem, traktującego cały ten dom razem z żoną i dziećmi jak miejsce chwilowego, sennego odpoczynku?

Czy może tak, jak pewien wytworny pan, który podejmował swych gości wyłącznie w Savoyu i Tivoli, dopóki sam nie został podjęty przez pewne wyspecjalizowane organa władzy?

Owszem, jest wyjście. Najprostsze. Znów ta sama śpiewka: trochę kultury! Odwiedzajmy się, człowiek nie może nie mieć przyjaciół, a mając ich — nie może spotykać się z nimi tylko w kawiarniach, zajętych przez młodzież, ani w restauracjach, których w Łodzi nie ma, a jak są, to pełne po brzegi stałych bywalców określonego rodzaju. Odwiedzajmy się za dnia, po co marnować własne zdrowie i nadużywać cierpliwości sąsiadów? Są to wprawdzie sąsiedzi gospodarze, nie nasi, nam na nich nie zależy. Ale — zaprawdę! — my też bywamy gospodarzami. Hodie mihi, eras tibi....

No i przy stole rozmawiajmy normalnym głosem, i nie wszyscy naraz. Normalnym głosem, spokojnie. Śmiać się też można zwyczajnie, nie zaraz fortissimo, nawet z najlepszego kawału. Nie można się tylko szeptem złościć i kłócić. Ale czy przyjaciele się kłócą? Przy stole? Kiedy na tym stole stoją....

Właśnie, jeszcze i to należy do kultury: żeby nie stało za dużo. Proszę bardzo, po setce dla panów. Wystarczy, słowo daję, byleby rozłożyć na raty.

I o dziesiątej przyciszyć głośniki. Albo odłożyć dalszy ciąg na następny raz — tak przecież było miło i kulturalnie, że warto powtórzyć!..

CWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego, i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumerate przyjmuja wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 2768. X. 1967 r. 0-2